

ALISON ROBERTS

RYWALE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W powietrzu rozległ się ogłuszający trzask.

- O Boże, co to?! - Strach malujący się w oczach pacjentki nie miał nic wspólnego ze stanem, który zmusił ją do pobytu w szpitalu.

Doktor Jennifer Tremaine spojrzała przez okno, po czym zwróciła się do niej z uspokajającym uśmiechem.

- To nie są strzały - zapewniła ją. - Wichura złamała gałąź starej wierzby przy wjeździe.

Liz opadła na poduszki.

- To musiał być bardzo gruby konar.

- Owszem. Radio podało, że wiatr osiąga w porywach sto kilometrów na godzinę.

Pielęgniarka Wendy skończyła przygotowania. Gdy podniosła się znad dzieciennego łóżeczka, o szyby uderzyła fala deszczu.

- Mówili, że to już koniec tego huraganu, ale na moje oko to dopiero początek.

- Cieszymy się, że nas w porę ostrzeżono. Kutry nie wyszły dzisiaj z portu i wcześniej skończyły się lekcje w szkole - rzekła Jennifer i ze ściągniętymi brwiami pochyliła się nad kartą pacjentki.

Nowozelandzkie miasteczko Akaroa na Wyspie Południowej nie było najlepiej przygotowane na taki atak zimy.

Przyczyną niepokoju lekarki były ewentualne komplikacje podczas porodu Liz, ponieważ najbliższy specjalistyczny ośrodek znajdował się dopiero w Christchurch. Ewakuacja drogą powietrzną nie wchodziła w rachubę.

- Gałąź kompletnie zablokowała wjazd - zauważyła pielęgniarka. - Miejmy nadzieję, że nikomu nic się nie stało. Jennifer spojrzała na zegarek.

- Muszę zadzwonić do domu, żeby się upewnić, że dzieci szczęśliwie wróciły ze szkoły. - Nie spuszczała wzroku z zegarka. - Minęło ponad dziesięć minut od poprzedniego skurczu. Znowu zwalniaasz.

- No nie! Czy to kolejny fałszywy alarm?

- Zobaczymy. Na pewno nie puszczą cię do domu w taką pogodę. Jak już ci tłumaczyłam, nietypowe ułożenie płodu może znacznie przedłużyć pierwszą fazę porodu. Na do datek odczuwasz silne bóle w krzyżu.

Liz westchnęła.

- Mogłam się spodziewać, że dziecko Petera będzie takie trudne, zanim się urodzi. Ma to po tatusiu.

- Dzwonił jeszcze raz?

- Pół godziny temu. Lotnisko w Dunedin jest zamknięte z powodu silnego wiatru, więc nie ma mowy, żeby wrócił dzisiaj. Miejmy nadzieję, że to jest kolejny fałszywy alarm.

- Jak plecy?

- Nie gorzej niż wczoraj. Jak się nazywa to ułożenie?

- Prawo-potyliczno-tylne. To znaczy, że dziecko tyłem główki uciska kość krzyżową, a nie powłoki brzuszne, jak to jest najczęściej.

- Co będzie dalej?

- Prawdopodobnie pod koniec pierwszego etapu, lub na samym początku drugiego, dziecko odwróci się i wtedy będzie już znacznie lepiej.

- Ile to będzie trwało?

- Nie wiem. Rozwarcie wynosi dopiero trzy centymetry, więc nawet trudno nazwać to rozpoczęciem porodu. Na razie w miarę możliwości staraj się jak najwięcej ruszać. Kiedy będziesz chodzić, dziecko przechyli się, przez co ból zelżeje. Różne pozycje powinny przynosić ulgę i przyspieszyć zmianę ułożenia dziecka. Dostaniesz gorący kompres. Poza tym w każdej chwili możesz poprosić Wendy, żeby rozmasowała ci plecy. Nastaw czajnik - zwróciła się do pielęgniarki. - Pora na herbatę. Pójdę do biura, żeby zadzwonić do Saskii, bo już powinna wrócić z dziećmi do domu.

Wysokiego holu wyłożonego boazerią ze szlachetnego drewna nie powstydzilaby się żadna elegancka rezydencja. Szpital w Akaroa wybudowano w czasach, kiedy w tego typu przedsięwzięciach liczyły się również walory estetyczne. Część dobudowana później była znacznie nowocześniejsza.

Jennifer rozpiełała duma z powodu wyposażenia izby porodowej, gabinetów zabiegowych i lekarskich. Duże, jasne pokoje, zazwyczaj z werandą, pomagały pacjentom znieść upalną porę letnią. Mimo że przestarzała instalacja wodno-kanalizacyjna pozostawiała sporo do życzenia, można było wybaczyć to architektom z początku wieku, ponieważ nader rzadko wszystkie dziesięć łóżek było zajętych.

Biuro było w starym skrzydle budynku. Zajmowało wprawdzie jeden pokój, lecz bez trudu mieściła się tam Jennifer, jej

znacznie starszy wspólnik doktor Brian Wallace i sekretarka, która pracowała tylko do południa.

Jennifer przystanęła w drzwiach. Powodem jej niepokoju nie był widok roztrzaskanego drzewa, lecz mężczyzna, który siedział przed komputerem.

- Co się stało? - zapytała.

Brian Wallace energicznym ruchem zamknął szufladę biurka.

- Katastrofa. Przepadło mi sprawozdanie, które właśnie skończyłem pisać. Przez tę przerwę w zasilaniu. Jestem przekonany, że zasejfowałem ten dokument.

- Nie o to pytam. - Podeszła bliżej. - Widziałam, jak wrzucałeś inhalator do szuflady. Dlaczego mi nie powie działaś, że masz atak dusznicy?

Westchnął zrezygnowany.

- Nie chciałem cię niepokoić. Nie jest źle, naprawdę.

- Zaczął się tu, przed komputerem?

- Z powodu stresu, jaki wywołują te piekielne wynalazki. Przez cały tydzień ślęczałem nad tym cholernym sprawozdaniem. Uważam, że przesadziliśmy z tą modernizacją. Dawniej też było dobrze. Domagam się zwrotu mojej po cziwej maszyny do pisania.

- Korzystasz z Internetu częściej niż inni. - Uśmiechnęła się. - Zginiesz bez niego. - Zmieniła ton. - Chodź, zrobię ci EKG.

- Daj mi go poszukać - wykręcał się. - Zresetuję komputer.

Rozległ się łoskot, po czym wszystkie biurowe lampki przygasły, a ikonki na ekranie komputera zniknęły.

- Wyłącz komputer - powiedziała stanowczym tonem, nasłuchując. - Zdaje się, że uruchomił się nasz awaryjny generator. Musimy oszczędzać prąd. Daj sobie spokój z komputerem.

- I z EKG.

- EKG ma własny akumulator - zauważyła, po czym dodała łagodnym tonem: - Chodź, Brian, pozwól mi się zbadać.

Ociągając się, ruszył za nią. Był już po sześćdziesiątce i zapewne powinien był pójść na emeryturę już po pierwszym zawale, dwa lata wcześniej. Tak jak Jennifer urodził się tutaj i od samego początku wiedział, że chce poświęcić całe swoje życie pracy dla tej niewielkiej społeczności.

Ona natomiast wróciła do Akaroa niezupełnie z własnej woli, ale przez ten czas miała niejedną okazję przekonać się, jak wszyscy byli tu zżyci. Ta więź dawała jej silne poczucie bezpieczeństwa, a zarazem stawiała poważne wyzwania.

Jennifer miała wrażenie, że stanowi częśćkę życia wielu ludzi.

Czuła się odpowiedzialna za ten szpital i za Briana Wallace'a, od lat jej przyjaciela i mentora.

EKG wypadło pomyślnie.

- Nadal czujesz ból w klatce piersiowej?

- Już nie.

- Ten atak był podobny do poprzedniego?

- Raczej tak.

- Objawy towarzyszące?

- Żadnych.

- Brałaś dzisiaj aspirynę?

- Tak jest, pani doktor. - Uśmiechnął się do niej. - Czy już jestem wolny?

- Nie. Muszę ci jeszcze sprawdzić ciśnienie i cię osłuchać. Puszczę cię, jeśli będą w normie. Pojedziesz do domu. Odpocząć.

- Dopiero trzecia.

- Jest ciemno jak o szóstej. Lepiej żebyś dotarł do domu, zanim wiatr się nasili.

- Możemy mieć więcej pacjentów.

- Mam Wendy do pomocy. I tylko dwie osoby hospitalizowane oraz Liz. Jej skurcze mogą znowu okazać się fałszywym alarmem.

- No cóż, Wendy jest wspaniałą pielęgniarką, a do ciebie mam pełne zaufanie. - Zadumał się. - Obiecałem, że w drodze do domu wpadnę do Jacka Curriego obejrzeć jego wrzód.

Westchnęła.

- Kto jeszcze czeka, że wpadniesz? - Rozwiązywała opaskę ciśnieniomierza. - Ciśnienie w porządku. Sto czterdzieści na dziewięćdziesiąt. - Przyłożyła stetoskop do jego klatki piersiowej. - Oddychaj głęboko...

Kiedy dotarła do kuchni, herbata całkiem już ostygła. Gdy zaparzyła nową, weszła Wendy z tacą z pustymi filiżankami i talerzykami.

- Pani Dobson prosi o herbatnika - powiedziała, sięgając do pudełka. - A zjadła już dwa!

- To znaczy, że nie przejęła się pogodą.

- Chyba nawet niczego nie zauważyła.

Dziewięćdziesięciosiedmioletnia pacjentka przebywała w szpitalu na stałe, ponieważ wymagała ciągłej opieki, a nikt nie miał serca wysyłać jej daleko od miejsca, w którym spędziła całe życie, mimo że już nie bardzo zdawała sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje.

- Jak Lester?

- Spał.

- Czyli należy przypuszczać, że środek przeciwbólowy zadziałał. - Ten pacjent cierpiał na wyjątkowo bolesny rzut płuca. - A Liz?

- Bez zmian. Silny skurcz, a po nim bardzo słaby. Jest bardzo nieszczęśliwa. Na dodatek ból w krzyżu się nasilił.

- Zbadałaś tętno płodu?

- Też bez zmian. Dziecko w porządku, tylko matka cierpi. - Wendy uśmiechnęła się.

- Jak tak dalej pójdzie, opadnie z sił, zanim zacznie się drugi etap. Gdybym wczoraj wysłała ją do Christchurch, zrobiliby jej cesarskie cięcie i już byłoby po wszystkim.

- Liz chciała, żeby Peter zdążył na poród. Była nawet całkiem zadowolona, że nic się nie dzieje - zauważyła pielęgniarka. - Przewidujesz kłopoty?

- Mam nadzieję, że nic się nie stanie. - Popatrzyła przez okno, za którym szalała wichura. - Nie podoba mi się, że drogi są zablokowane. W razie komplikacji będziemy w nieładzie. Liczymy na to, że smarkacz zdecyduje się z nami współpracować i w porę się obróci.

Wzrok Wendy powędrował za jej spojrzeniem.

- Na wzgórzach pewnie leży śnieg. - Spojrzała na zegarek i sięgnęła po talerzyk. - Zniosę to pani Dobson, po tem zajrzę do Liz i podam herbatę Brianowi.

- Kazałam mu jechać do domu. Znowu ma atak dusznicy.

- Niemożliwe! - Herbatnik o mało nie zsunął się na podłogę. - Silny?

- Trudno powiedzieć. Mam podejrzenie, że Brian nauczył się ukrywać objawy. Zrobiłam mu EKG. Jutro rano je powtórzę, ale wolałam go wysłać, zanim tutaj zrobi się gorąco.

Przez ryk wiatru przebił się odległy odgłos syreny, wzywającej strażaków-ochotników na miejsce zbiórki. Tym razem na pewno nie do pożaru. Raczej do wypadku. Tuż obok rozległ się drugi sygnał. Bardzo blisko. W izbie przyjąć.

- Mam iść? - zapytała Wendy, odstawiając talerzyk z ciasteczkami.

- Ja pójdę, a ty zajmij się Liz. Jak będziesz miała wolną chwilę, bądź tak dobra i zadzwoń do mnie do domu. Nadal nie wiem, czy dzieci już wróciły ze szkoły.

W poczekalni stał potężnie zbudowany mężczyzna w nieprzemakalnym skafandrze, z którego woda ściekała na podłogę. Do piersi przyciskał rękę ociekającą krwią.

- John, co się stało? - Jennifer otworzyła drzwi do gabinetu zabiegowego.
- Kiedy przywiązywałem łódź, przewróciła mnie wy soka fala. Oparłem się o pudełko z haczykami. Jeden sam wyjąłem, ale drugi wbił się za głęboko.
- Widzę. - Ustawiła ruchome ramię lampy, by lepiej przyjrzeć się poszarpanej ranie pod kciukiem. - Nieźle to sobie rozharatałeś. Nie obejdziesz się bez szycia. Zdejmij kurtkę. Osuszysz się trochę.
- Co tam wilgoć. - Pokręcił stanowczo głową. - Muszę zaraz wracać, żeby pilnować łodzi. Przyływ dopiero się zaczął, a fale już zalewają szosę.
Przygotowała zastrzyk znieczulający.
- To niebezpieczne. Lepiej byłoby trzymać się z dala od łodzi. Chyba nie zamierzasz wchodzić na pokład? – spytała zaniepokojona.

- Muszę jej pilnować. Z tego żyję.
- To prawda. Miejmy nadzieję, że pogoda nie pogorszy się jeszcze bardziej.
W chwili gdy wyjmowała haczyk z nacięcia, które zrobiła skalpelem, znowu rozległ się dzwonek z izby przyjęć.
Przyłożyła do rany sterylny gazik i wstała.
- Przytrzymaj, zobaczę, kto przyszedł.
W poczekalni zastała dwie kobiety.
- Pani doktor, mama się przewróciła - powiedziała młodsza.
- Nic nie widziałam, kiedy zgasło światło. - Starsza pani była wyraźnie rozgniewana. - Potknęłam się o stolik do kawy.
- Straciła pani przytomność?
- Nie, ale rozciąłam sobie nogę. Pani doktor wie, jaką mam cienką skórę.
Jennifer przytaknęła. Starsza pani Turner od lat brała sterydy z powodu choroby płuc. Nawet najmniejsze uderzenie mogło rozerwać jej cienką skórę. Sądząc po plamie krwi na ręczniku wokół łydki, było to całkiem poważne uderzenie, lecz krew na tym prowizorycznym opatrunku już prawie zakrzepła.
- Krwawienie ustało - oznajmiła. - Proszę chwilę poczekać, muszę założyć pacjentowi kilka szwów i go opatrzyć.
Zastanawiała się, czy poprosić Wendy, by ją w tym wyręczyła, gdy otworzyły się boczne drzwi.
- Podjazd jest kompletnie zablokowany zwalonym drzewem, więc musiałam wejść tędy - usłyszała wesoły głos.

- Margaret! - Ucieszyła się na widok jednej ze starszych pielęgniarek. Zdziwiło ją jednak, że Margaret jest w kompletnym pielęgniarskim stroju. - Przyszedłeś za wcześnie. Dzisiaj jesteś na noc.

- Pomyślałam, że w taką pogodę mogę przydać się nieco wcześniej. - Margaret Coates ściągnęła z siwej głowy plastikowy kapturek.

- Jesteś kochana - wzruszyła się Jennifer. - Wobec tego zajmij się panią Turner, bo muszę wracać do zabiegowego. Mam pacjenta, któremu zakładam szwy.

Gdy przycinała nitkę ostatniego szwu na dłoni Johna, do gabinetu weszła Wendy.

- Liz ma regularne skurcze co dziesięć minut i domaga się środka przeciwbólowego - zameldowała.

- Idę do niej, a ty opatrz Johnowi rękę i owiń ją plastikiem, bo chce jeszcze iść na przystań. - Zatrzymała się w drzwiach. - Dodzwoniłaś się do Saskii?

- Wygląda na to, że linia telefoniczna jest zerwana. Spróbuję jeszcze raz.

W holu zatrzymała ją Margaret.

- Rana pani Turner wygląda paskudnie. Naddarty płat skóry jest cały postrzępiony.

- Przyłóż mokry okład. Przyjdę do was za chwilę. -

Ruszyła na porodówkę, ale znowu zatrzymał ją dzwonek do drzwi. Przystanąła, by zapanować nad narastającym w niej napięciem. W takim stanie nie chciała zajmować się rodzącą.

Gdyby Saskia z dziećmi nie mogła dostać się do domu, na pewno zadzwoniłaby na jej komórkę. Ona z kolei, gdyby napływ pacjentów przerósł ich możliwości, może w ten sam

sposób wezwać na pomoc Briana, ale we trzy, z Wendy i Margaret, na pewno ze wszystkim sobie poradzą. Pod warunkiem, że poród będzie przebiegał bez problemów. Odetchnęła głęboko i weszła do pokoju Liz.

- Przepraszam, że tyle musiały na mnie czekać. Zaraz sprawdzimy, co się tam u ciebie dzieje.

Dziesięć minut później wróciła do pani Turner.

- Uznałam, że trzeba wyrównać ten brzeg. Jak ci się teraz podoba? - oznajmiła Wendy.

Jennifer zerknęła na ranę.

- Wspaniale. Sama bym tego tak dokładnie nie zrobiła. Margaret, nałóż opatrunek. - Następnie zwróciła się do Wendy: - Liz ma rozwarcie sześć centymetrów. Przygotowałam entonox, gdyby potrzebowała środka przeciwbólo-

wego, ale uważam, że jeszcze trochę powinna się poruszać.
Miej ją na oku.

Pielęgniarka pokiwała głową.

- Czeka na ciebie Jill McIntosh z Samem. Trzeba go zbadać.

- Co mu się stało?

- Oberwał w głowę drzwiami od garażu. Przez krótką chwilę był oszołomiony. Wygląda dobrze, ale jest podejrzanie spokojny. Jill przyprowadziła go, bo godzinę temu miał torsję. To może być wstrząśnienie.

Sam miał sześć lat, tyle samo co bliźniaczki. Mieszkał w dolinie, tuż za posiadłością Jennifer. Często się bawił z dziewczynkami. Tym razem był bardzo blady i wyraźnie przygaszony.

- Zaświecę ci tym światełkiem w oczy. Postaraj się nie mrugać, dobrze? - poprosiła malca.

Dzięki Bogu oględziny neurologiczne wypadły pomyślnie.

Gdy przekazywała tę informację matce, zadzwoniła jej komórka. Telefonował strażak Robert Manson.

- Mamy wypadek niedaleko Barry's Bay - oznajmił, przekrzykując zakłócenia elektrostatyczne. - Jesteś nam tu tutaj potrzebna.

- Poważny? - Jak to dobrze, że dzieci nie wracają tą drogą. Na pewno są już w domu.

- Jeden kierowca jest uwięziony i nieprzytomny. Ale liczba rannych jest większa.

- Już jadę.

Gdy kończyła wkładać nieprzemakalny kombinezon ochronny, do pokoju weszła Wendy.

- Co się stało?

- Wypadek drogowy. Będą nam potrzebne posiłki. Czy któraś z pielęgniarek ma komórkę?

- Nie mam pojęcia.

- Wobec tego zadzwoń do Toma Bartletta i przedstaw mu sytuację. - Uznała, że jeśli Tom, policjant, nie jest na miejscu wypadku, będzie mógł swoim terenowym autem pozbierać kilka pielęgniarek.

- Mam wezwać Briana?

- Jeszcze nie. - Starła się chronić współnika. Wezwie go w ostateczności. Sięgnęła po skrzynkę z aparaturą do reanimacji. - Trzeba przygotować łóżko dla Sama. Zostanie u nas na noc. Sprawdzaj go co dwadzieścia minut. Miejmy nadzieję, że wrócę niebawem.

- Bądź spokojna. Nie damy się - zapewniła ją Wendy.

- Współczuję ci. Ten wyjazd to żadna przyjemność.

Mimo że było dopiero wpół do szóstej, panowały egipskie ciemności, szalał bardzo silny wiatr, a strugi deszczu siekły przednią szybę, przez którą trudno było cokolwiek zobaczyć. Fale zalewały szosę, zamieniając ją w spienioną, rwącą rzekę. Jennifer bezskutecznie starała się nie dopuszczać do siebie ponurych myśli.

"Sztormowe fale pochłoneły lekarkę". Co napisano by w tej notatce prasowej? "Trzydziestodwuletnia doktor Jennifer Tremaine prawdopodobnie utonęła, gdy fale przyływu gnane huraganowym wiatrem z południa zmyły jej samochód do oceanu. Doktor Tremaine od sześciu lat pracowała w Akaroa, swoim rodzinnym miasteczku. Brała udział w licznych akcjach ratunkowych, w różnych warunkach pogodowych".

To prawda. Na przykład wówczas gdy autokar pełen turystów zjechał z drogi prosto do wody, ponieważ śnieżna zaspą zasłaniała kierunek szosy, lub gdy w porcie tonął rybacki trawler. Rzadko jednak pogoda była tak parszywa jak tego dnia.

Gdy mijala Duvauchelle, deszcz zamienił się w grad, który bębnił niemiłosiernie w maskę samochodu, a na dodatek unieruchomił wycieraczki. "Doktor Tremaine nie zamierzała zaszyć się w prowincjonalnym szpitalu", ciągnęła na głos. "Ukończywszy studia medyczne z wyróżnieniem, miała zamiar specjalizować się w chirurgii w zagranicznych ośrodkach. Marzyła o studiach w USA i międzynarodowej karierze". W końcu uznała za stosowne skończyć tę zabawę. Oto za chwilę będzie ratować czyjeś życie w gwałtownych podmuchach wichru i gradu. Być może będzie to ktoś, kogo zna od dziecka. Co tam Ameryka.

Los, który sprawił, że wróciła w rodzinne strony, okazał się mądrzejszy niż ona, ponieważ tu jest jej miejsce i tutaj jest potrzebna.

Robert Manson kierował niewielką, lecz oddaną ekipą ochotników, którzy właśnie rozcinali blachę pogruchotanego samochodu. Drugie auto, z wybitą przednią szybą, stało nieco wyżej, na wzgórzu. Przez otwarte drzwi Jennifer zobaczyła kobietę, która rękami zasłaniała twarz. Obok stała druga osoba, która przyglądała się operacji.

Jennifer zaparkowała tak, by jej reflektory oświetlały całą scenę wypadku, nie zgasiła silnika ani nie wyłączyła ogrzewania. Z aparaturą do reanimacji podeszła do ratowników.

- Co za pogoda! - Robert przekrzykiwał hałas. - Zaraz kończymy.

- W jakim jest stanie?

- Ciągłe nieprzytomny, ale tętno i oddychanie w normie. Lekarz stabilizuje mu szyję, żeby założyć kołnierz.

- Lekarz? Chyba nie Brian?

- Nie wiem, kto to jest. Powiedział, że jest lekarzem, i widzę, że zna się na rzeczy. Nadszedł parę minut po nas. Tym camperem. - Rzeczywiście, poza kręgiem światła ma jacyś sylwetka wielkiego samochodu turystycznego z luksusowo wyposażoną częścią mieszkalną. Jakiś turysta. Gdy upewni się co do jego kwalifikacji, chętnie skorzysta z jego pomocy.

- Ktoś badał pozostałych?

- Pobieźnie - przyznał Robert. - Cholera! Kazałem im siedzieć w samochodzie, żeby nie zmokli. - Wskazał na drugie auto. - Ten facet nie ma nawet kurtki. Zamarznie.

- Niech się przesiądą do mnie. Mam włączone ogrzewanie.

Ratownicy w końcu usunęli wgniecione drzwi.

- Deska! - krzyknął ktoś z ekipy. - I tlen.

Podeszła bliżej, by przyjrzeć się rannemu. Twarz młodego człowieka była zalana krwią, lecz nie na tyle, by uniemożliwić jego rozpoznanie. Poczula nieprzyjemny ucisk w dołku. Liam Bellamy? Syn rybaka, któremu dopiero co usuwała haczyk z dłoni. Pochyliła się.

- Liam, otwórz oczy.

- Nie reaguje. - Z tylnego siedzenia rozległ się niski, męski głos. - Wyłącznie na bolesne bodźce.

- Drogi oddechowe?

- Drożne.

Ranny miał już w ustach plastikową rurkę.

- Mam tlen. - Ktoś z tyłu podał jej maskę. - Piętnaście litrów.

Zakładając maskę rannemu, mimo woli dotknęła ramienia mężczyzny, który z tylnego siedzenia podtrzymywał głowę Liama. Gdy spojrzała mu w twarz, ze zdumienia aż otworzyła usta. Mężczyzna uśmiechnął się ponuro.

- Cześć, Jennifer. Kto by pomyślał?

- Andrew!

- Deska gotowa - tuż za plecami usłyszała głos Roberta.

- Jak mamy ją ustawić?

Udzieliła im instrukcji, po czym pomogła przenieść deskę na nosze. Ratownicy umieścili je w zaadaptowanym do tych celów land-roverze. Przygotowując wenflon do kroplówki, zorientowała się, że na zewnątrz stoi jej kolega po fachu.

- Andrew Stephenson, nie do wiary - powiedziała pół

głosem. - Mickey, kroplówka!
- Masz opatrunki? - zapytał Andrew. - Skaleczyłem się o jakieś żelastwo.
- Mickey, daj mu coś - poleciła, wpatrując się w twarz nieprzytomnego pacjenta. Zaświeciła mu latarką w oczy. - Liam, słyszysz mnie?
W odpowiedzi usłyszała niezrozumiały bełkot, po czym Liam poruszył ręką.
- Leż spokojnie. Miałeś wypadek.
- Trochę się ożywił - zauważył Andrew, jednocześnie biorąc od Mickeya opatrunek. - Dzięki.
- Wsiadaj. Pokaż nogę.
- Nic mi nie będzie. - Postawił stopę na stopniu land-rovera i szerzej rozdarł nogawkę džinsów.
- Niezła rana. - Mickey był pełen uznania. - Lepiej niech ją pan pokaże pani doktor.
- Andrew też jest lekarzem. Razem studiowaliśmy. "Razem" to nie najlepsze słowo. Raczej w tym samym czasie. Rywalizowali ze sobą na każdym kroku. Na polu akademickim i towarzyskim. To współzawodnictwo stanowiło główne tło jej studiów. Upajała się tą zaciętą walką. Jej przeciwnikiem był właśnie Andrew Stephenson.
- Sądząc po akcencie, myślałem, że jest pan amerykańskim turystą - tłumaczył się Mickey.
- Mieszkałem w Stanach parę lat.
- Jesteś chirurgiem?
- Już nie.
- Jak to? - Ściągnęła brwi. - Zrobiłeś inną specjalizację?

- Niezupełnie. - Przyglądał się swojemu opatrunkowi, który już zdążył przesiąknąć krwią.
- Tętnica?
Nie otrzymała odpowiedzi, ponieważ podszedł do nich Tom Bartlett.
- Poleciłem jednemu z chłopaków, żeby twoim autem zabrał dwie osoby do szpitala - poinformował ją. - Nie ma ją większych obrażeń, ale trzeba je przebadać. Jak Liam?
- Poważna sprawa. W normalnych warunkach wezwałabym helikopter, żeby przetransportował go do Christchurch. Wezwiemy karetkę.
- Nie da rady - odparł Tom. - Po drugiej stronie wzgórze osunęła się ziemia. Jesteśmy odcięci od świata. Zbierała myśli.
- Andrew, musisz jechać ze mną. Będzie mi potrzebna twoja pomoc.
- Nie mogę. Mam wakacje. Tam stoi mój camper.

- Nie obchodzą mnie twoje wakacje - oburzyła się. - To sprawa życia i śmierci - rzuciła lodowatym tonem. - Kilka godzin twojego cennego urlopu może zdecydować o tym, czy Liam przeżyje.

- Nie mam ważnego prawa wykonywania zawodu w Nowej Zelandii.

- Nie obchodzi mnie to. Masz odpowiednie kwalifikacje. Sam też potrzebujesz pomocy. Straciłeś sporo krwi.

- A co z moim camperem?

- Nie wykręcaj się. - Spojrzała na Toma. - Zajmiesz się tym?

- Jasne. Gdzie mam zaprowadzić samochód?

- Wjazd na szpitalny parking jest zablokowany. Postaw go u mnie.

- Chwileczkę...

Zignorowała go.

- Czy Wendy skontaktowała się z tobą?

- W sprawie dodatkowego personelu? Tak. Dodzwoniłem się do Janey, a ona obiecała zwerbować Michelle i Suzanne.

- Dzięki. Mickey, ruszamy.

Andrew, który ciągle stał na dworze, kręcił głową z niedowierzaniem. W końcu wsiadł do samochodu i usadowił się na ławce wzdłuż noszy.

- Wiedziałem, że nic nie wyjdzie z tych wakacji. Wiedziałem. Od roku - poinformował Jennifer.

- To dlaczego się na nie zdecydowałeś? - Nie zabrzmiało to przyjaźnie. Przymocowywała elektrody do klatki piersiowej rannego.

- Nie chciałem przepuścić takiej okazji. - Roześmiał się ponuro. - To jest moja podróż poślubna.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nie była do najlepsza chwila do składania gratulacji, toteż Jennifer puściła to wyznanie mimo uszu.

Nie interesowało ją, co sprowadziło Andrew Stephensona z powrotem na tę półkulę. Jeśli w camperze siedzi jego obrażona małżonka, Tom na pewno się o nią zatroszczy. Andrew nie wygłądał na zmartwionego, ale on zawsze taki był. Liczyła

wyłącznie na jego doświadczenie, którego w tej chwili bardzo potrzebowała.

Gdy land-rover ruszył, na jej twarzy malował się uśmiech zadowolenia. Andrew Stephenson chwilowo znalazł się w pułapce, co natychmiast należy wykorzystać.

Pomimo kombinezonu ochronnego była mokra. Sięgnęła do schowka pod sufitem po ręcznik i otarła twarz oraz ręce. Po chwili wróciła do obserwacji rannego.

- Ciśnienie sto na sześćdziesiąt. Tętno sto trzydzieści.

Jest w szoku, ale oddychanie nie pogarsza się – poinformowała Andrew i rzuciła mu drugi ręcznik. - Chyba zmarzłeś. Wytrzyj się i owiń kocem.

Jedną ręką sięgnął po ręcznik, ponieważ drugą przytrzymywał opatrunek na nodze. Spomiędzy palców sączyła się strużka krwi.

- Uciśnij.

- Dzięki, ale jeszcze pamiętam podstawowe zasady tamowania krwotoków - warknął.

- Więc je zastosuj - odburknęła i zajęła się Liamem.

Mimo upływu czasu komunikowali się teraz w taki sam sposób jak podczas studiów. Andrew nic się nie zmienił. Mimo to Jennifer zawstydzila się, że tak szybko potrafiła wrócić do sposobu porozumiewania się sprzed lat, który w końcu sama uznała za bardzo niedojrzały. Podniosła się i opierając się o nosze, jeszcze raz sięgnęła do schowka, by wyjąć stamtąd największy ze sterylnych opatrunków, jaki miała w zapasach. Rozdarła opakowanie.

- Przyłóż to. Owinę ci nogę bandażem elastycznym, może to pomoże zatamować krwotok.

Uśmiechnęła się, gdy na moment podniósł wzrok. Chciała go przeprosić za wcześniejszą oschłość, ale on uznał za stosowne tego nie zauważyć. Gdy opatrywała mu nogę, wytarł twarz ręcznikiem. Zrobiła to błyskawicznie, ale i tak zdążyła zauważyć, że przez te lata nie stracił fizycznej formy. Może nawet trochę wyszczupłał.

- Kroplówka się kończy. Przygotuj następną - rzucił. Zareagowała natychmiast. Zdaje się, że Andrew obserwuje Liama z większą uwagą, niż jej się wydawało. Może da się przekonać, gdy znajdzie się w lepszych warunkach. Jeśli w ogóle dotrą do szpitala. Land-rover zatrzymał się w miejscu.

- Mickey, co się dzieje?

- Obserwuję fale. Zalewają szosę. Chcę przejechać, kiedy woda będzie spływać.

To znaczy, że za parę minut będą w szpitalu. Jeszcze tylko kawałek pod górę. W napięciu czekała na decyzję kierowcy.

Gdy ruszyli, pochyliła się nad Liamem.

- Jesteśmy już prawie na miejscu. Zaraz się tobą zajmujemy.

Ranny rzucił się, chcąc uwolnić się od maski tlenowej, po czym wymiotował krwią. Jennifer zakleła i natychmiast zerwała mu maskę z twarzy, aby nie zakrztusił się jej zawartością. Rurka potoczyła się po podłodze.

- Ułóż go na boku - rzucił Andrew beznamiętnym tonem. Pomógł jej inaczej położyć prawie bezwładne ciało rannego. - Masz ssak?

- Na ścianie, za tobą. Zatrask jest pod spodem. Miejmy nadzieję, że nie ma urazu miednicy.

- W tej chwili najważniejsze jest oddychanie. Trzymaj.

- Podał jej urządzenie do odsysania i włączył je.

- Ty to zrób, a ja poszukam nowej maski i rurki.

- Nie mam rękawiczek.

- To włóż. - Wyrwała mu ssak i sama oczyściła jamę ustną oraz nos rannego z krwi i wymiocin. Przy okazji za uważała wybite zęby i prawdopodobnie złamanie kości nosowej. Czy to jest główna przyczyna krwotoku?

- Przygotuję ci rurkę - zaproponował Andrew. Już miał się tym zająć, gdy samochód gwałtownie zahamował, niemal go przewracając.

- Na podjeździe leży zwalone drzewo - warknął Mickey. - Zobaczyłem je w ostatniej chwili.

- Zapomniałam ci o tym powiedzieć. Podjedźmy od strony kuchni.

Andrew podał jej rurkę i maskę.

- Jego stan ogólny się pogarsza. Brak odruchu wymiotnego. Oddech słabnie. Musimy natychmiast go intubować - orzekła.

- Trzeba go wysiać do najbliższego dużego szpitala. To, czym tutaj dysponujesz, to za mało dla pacjenta w takim stanie.

- Nie mamy wyjścia. W nas jedyna nadzieja. Nie ma mowy o żadnej ewakuacji. - Rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie. - Mówiąc "my" mam na myśli także ciebie.

- Już ci mówiłem, że przestałem być lekarzem. Prawie rok temu.

- Dlaczego?

- To moja sprawa.

Land-rover zatrzymał się. Ściskając skrzynkę ze sprzętem, Jennifer zerknęła na pacjenta.

- Nic mnie to nie obchodzi - oświadczyła. - Lekarzem jest się do końca życia. Muszę teraz zbadać oraz ustabilizować pacjenta. Potrzebna jest mi pomoc. Wykorzystam

wszystkie dostępne środki. Włącznie z tobą.

Odczepiła nosze.

- Bierz torbę i ssak i chodź z nami.

Wendy i Margaret otworzyły drzwi, wpuszczając Jennifer i Mickeya z noszami.

- Zawiadomił nas Tom Bartlett - poinformowała ją Wendy. - Janey i Michelle są już na miejscu. Sue dojedzie, jak tylko komuś podrzuci dzieci. Gabinet zabiegowy jest przygotowany - recytowała. - Co z Liamem?

- Nie najlepiej - usłyszała głos Andrew Stephensona.

- Ma kłopoty z oddychaniem. Zapewne odma opłucnowa na skutek ucisku połamanych żeber na płuca.

Zdumione spojrzenia obu pielęgniarek nie uszły uwagi Jennifer, ale czas naglił. Przewieźli nosze do gabinetu. Teraz należało rannego przełożyć na stół.

- Policzę do trzech... - rzekł Andrew. - Raz, dwa, trzy... - Sięgnął po stetoskop, który leżał na brzuchu Liama, i osłuchiwał go uważnie. - Dreny po obu stronach – poinformował Jennifer, po czym przeniósł wzrok na Wendy. - Jesteś pielęgniarką? Podaj mi rękawiczki.

Jennifer wyczuła wahanie dziewczyny.

- Andrew jest lekarzem. Chirurgiem. Wie, co robi - za pewniła ją.

Napięta atmosfera, jaka panowała w gabinecie, miała źródło nie tylko w czujności obu pielęgniarek, zaskoczonych niespodziewaną obecnością nieznajomego. Mimo to Andrew i Jennifer w milczeniu walczyli o oddech Liama.

W pewnej chwili Jennifer usłyszała od strony Andrew charakterystyczny syk powietrza, wydobywający się z boku rannego. Skupiła się na zakładaniu drenu po swojej stronie. Przez ułamek sekundy poczuła znane z dawnych lat uczucie zawodu, że Andrew okazał się szybszy od niej.

- Krew w opłucnej z tej strony - zameldowała. - Na wet sporo.

- Jedno złamane żebro może spowodować utratę stu pięćdziesięciu mililitrów do jamy opłucnowej, a ten facet ma kilka pękniętych żeber. - Osłuchiwał klatkę piersiową.

- Oddech wyrównuje się. - Zerknął na Mickeya, który prowadził oddychanie wspomagane. - Chcesz go intubować?

Masz sprzęt?

- Zaraz to zrobię. - Z zadowoleniem zauważyła, że Wendy już przygotowuje aparat.

- Przydałoby się zdjęcie klatki piersiowej, kręgosłupa i miednicy.

- Niestety, nie mamy rentgena.

- Ciśnienie krwi spada - ostrzegła Margaret. – Dzie-
więćdziesiąt na pięćdziesiąt.
- Porozcinaj resztę jego ubrania - polecił jej Andrew.
- Zbadam jamę brzuszną i miednicę. Jennifer, zajmij się in-
tubacją.

Margaret już bez szemrania wykonała to polecenie. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że ten człowiek panuje nad sytuacją.

Odwracając się po laryngoskop, Jennifer dostrzegła w oczach Wendy zdumienie, że pani doktor przystała bądź co bądź na rolę asystenta osoby zupełnie obcej.

- Mickey, pomóż nam zdjąć mu kołnierz. Wendy, zwróć uwagę na rany twarzy.

Jennifer skupiła się na swoim zadaniu. Chętnie zrzekła się przywództwa nad tą małą grupą na rzecz Andrew. W tej sytuacji trzeba zapomnieć o dawnych utarczkach. Wendy też nie miałyby żadnych zastrzeżeń, gdyby знаła go tak dobrze jak Jennifer. Andrew nigdy nie potrafił oprzeć się pokusie przejęcia kontroli nad sytuacją, zwłaszcza w jej obecności.

Tym razem nie miała o to pretensji. Dzięki Bogu ma do czynienia z kimś, kto ma takie samo, jeśli nie większe, doświadczenie jak ona.

- Miednica w porządku - oznajmił Andrew. - Kości udowe?

- Chyba też całe.

- Margaret, ciśnienie - zwrócił się do leciwej pielęgniarzki takim tonem, jakby od lat razem pracowali.

Pacjent już był przygotowany do intubacji.

- Większa intensywność oddechu wspomaganego. - Jennifer wydała polecenie Wendy.

- Ciśnienie osiemdziesiąt na pięćdziesiąt pięć.

Jennifer przyjęła tę informację z pewnym niezadowoleniem. Wstrząs się nasila. Liam traci więcej krwi, niż wskazywałyby na to obrażenia, które do tej pory zdiagnozowali. Muszą znaleźć przyczynę.

- To może być pęknięcie przepony - Andrew myślał na głos.

- Płukanie otrzewnej?

- Dlaczego?

Musiła się pohamować. W dawnych czasach nieustannie sprzeczali się w kwestii diagnozy oraz wynikającego z niej postępowania i sprawdzali się nawzajem, domagając się uzasadnienia każdej opinii i decyzji. Nieodmiennie starali się wykazać swoją wyższość.

- Może okazać się pomocne w diagnozie. Jeśli w pły-

nie z opłucnej pojawi się płyn z otrzewnej, będziemy mieli pewność, że mamy do czynienia z pęknięciem przepony.

- I co dalej? Laparotomia? - Nie ukrywał sceptycyzmu.

- Masz odpowiednie kwalifikacje, by to przeprowadzić?

W tych warunkach?

- Nie, ale ty masz.

- Nie mam.

Wyczuła zażenowanie obu pielęgniarek i Mickeya, ale nie zwracała uwagi na narastające napięcie.

- Podobno z ośrodka Boston Memorial zostałeś skaptowany do jakiejś sławnej prywatnej kliniki - rzuciła z przekąsem.

- To już zamierzchła przeszłość. Mówiłem ci, że zerwałem z praktyką. - Jego ton był wyraźnie wyzywający.

- Dlaczego? - brnęła. Teraz nie pozwoli mu się wycofać. - Zabiłeś kogoś?

Wzrok mu pociemniał.

- Nie. Ale w tych warunkach nie będę ryzykował.

Rozległ się brzęczyk monitora. Po chwili arytmia samoistnie ustała, ale dzięki temu oboje lekarzy przypomniało sobie o krytycznym stanie pacjenta. Do gabinetu wsunęła głowę młoda pielęgniarka.

- Pani doktor, Liz ma silne bóle - powiedziała Michelle.

- Na dodatek piszczy monitor tętna płodu.

Jennifer posłała Andrew błagalne spojrzenie. Skinął głową.

- Zrobię płukanie. Potem zastanowimy się co dalej.

- Dzięki. - Nadal miała na sobie mokre ubranie. Andrew był na pewno bardziej przemoczony, ponieważ dłużej niż ona stał na deszczu. Na dodatek jest ranny. Mimo to nie narzeka.

- Przyjechał Tom Bartlett, żeby spisać zeznania uczestników wypadku - dodała Michelle. - Poza tym Mickey jest wzywany do bazy.

Jennifer ściągnęła rękawiczki. Nie pora martwić się o wygodę Andrew Stephensona.

- Wendy, chodź ze mną. Margaret, daj Andrew coś do przebrania. Jest przemoczony do suchej nitki i na pewno przemarzł.

- Ciekawe, czy Andrew podjąłby się cesarskiego cięcia?

- zastanawiała się po drodze, gdy wraz z Wendy spieszyły na porodówkę.

- Kto to jest? I skąd się wziął? - dopytywała się rozgorączkowana pielęgniarka.

- Jest na urlopie i jakimś cudem znalazł się na miejscu wypadku. - Zatrzymała się przy szafce. - Też się przebiorę.
- Sięgnęła po jasnoniebieski uniform.
- Fantastyczny facet. Taki...
- Nie ty pierwsza zauważyłaś, że Andrew Stephenson jest zabójczo przystojny. I nie ostatnia.
- Skąd wiesz?
- Byliśmy razem na studiach.
- Chodziłaś z nim?
- Nigdy w życiu! Nie mogłam na niego patrzeć. A on na mnie. - Uśmiechnęła się. - Ale teraz cieszę się, że jest pod ręką.
- Ja też.
- Nie rób sobie nadziei. Stracisz tylko czas.
- Dlaczego?
- Bo to jest jego podróż poślubna. - Już z daleka zobaczyła policjanta Toma Bartletta. - Idę do Liz. Zajmij się Tomem. Sądzę, że ci z wypadku są pod opieką Janey. Do wiedz się od niej, jak czuje się mały Sam. Liz była bardzo nieszczęśliwa.
- Już nic mi nie pomaga. - Wskazała na pojemnik ze środkiem przeciwbólowym.
- Za chwilę dam ci coś silniejszego. - Obserwowała tętno płodu na monitorze. Uznawszy, że jest w normie, przy stała do badania Liz. Gdy podawała jej petydynę, w po koju zameldowała się Suzanne Smith.
- Gdzie mnie potrzebujesz? - zapytała.
- Tutaj. Tym razem Liz naprawdę rodzi. Ale idzie jej to bardzo opornie. Jest tu od rana, a rozwarcie ma dopiero siedem centymetrów. Liz ma już dosyć, ale do końca pierwszej fazy jeszcze daleko. Nie wiem, co zrobimy, jeśli dziecko się nie odwróci. W normalnych warunkach odesłałabym ją do Christchurch. Jak pogoda?
- Paskudna. W wiadomościach powiedzieli, że droga nadal jest zablokowana. Słyszałam o wypadku Liama. Co mu jest?
- Wkrótce się dowiem. Dziękuję, że przyszłaś. Nareszcie Liz jest w rękach prawdziwej położnej.
- Wezwę cię w razie czego. Powodzenia.
Gdy wróciła do gabinetu, usłyszała, że stan Liama nadal się pogarsza.
- Wymaga natychmiastowej laparotomii - oznajmił Andrew. - Oraz transfuzji. Macie osocze?
- Nie. Może moglibyśmy wykorzystać jego własną

krw?

- Trzeba by zmniejszyć krzepliwość. Macie środki przeciwzakrzepowe?

- Mamy.

- Bez sensu byłoby pompować w niego krew, jeśli gdzieś jest wyciek. Podejrzewam pęknięcie śledziony. Oraz być może wątroby.

- Zajmiesz się tym?

- Czy zdajesz sobie sprawę, o co mnie prosisz? Nie mamy odpowiedniego sprzętu ani personelu. Ani anestezjologa.

- Potrafię zrobić znieczulenie - rzekła pośpiesznie. - To była część mojej praktyki. Mamy sprzęt i instrumenty. Sterylizowane zgodnie z zasadami. I mamy wspaniałe pielęgniarki. Wendy i Margaret nam pomogą.

Chwyliła go za ramię.

- Rano usuwałam haczyk z ręki rybaka, który w tej wi-

churze próbował zabezpieczyć swoją łódź, jedyną żywicielkę całej jego rodziny. Od śmierci żony rok temu ten człowiek robi wszystko, żeby przetrwać. Z myślą o dzieciach. Liam jest jego najstarszym synem.

Nie spuszczała wzroku z jego twarzy. Nadal był bardzo blady, a ściągnięte rysy wskazywały, że coś go boli... lub że jest chory. Czy dlatego zrezygnował z błyskotliwej kariery? Z powodu rany w nodze stracił sporo krwi i spędził parę godzin w nieludzkich warunkach pogodowych. Czy zaostrzyło to jakiś poważny stan chorobowy?

- Dobrze się czujesz? Możesz operować? - dopytywała się. Stan jego zdrowia interesował ją nie tylko z powodu Liama. Wiedziała, że Andrew sam wymaga pomocy lekarskiej, ale w tej kryzysowej sytuacji ktoś był z góry skazany na czekanie. Tylko kto?

- Mogę. - Popatrzył na nią. - Mogę - powtórzył stanowczym tonem. - I podejmę się tego. Zdajesz sobie sprawę, że jeśli nam się uda, to będzie cud?

- Cuda się zdarzają - powiedziała półgłosem. - Ale czasami trzeba im trochę pomóc.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Nie mogę w to uwierzyć. Udało się. - W jej oczach wyczytał blask zwycięstwa.
- Przed nim jeszcze bardzo długa droga.
- Jest w miarę stabilny. Zniósł operację, krwotok opanowaliśmy, ciśnienie rośnie. - Gdy sięgała po igłę do zakładania szwów, powieki Andrew powoli opadły, ale ona tego nie zauważyła. - Podobno droga jest już odblokowana. Za parę godzin przyjedzie karetka, żeby go zabrać na oddział intensywnej opieki.
- Trzeba mu podać krew. - Z trudem otworzył oczy. Nigdy nie czuł się tak fatalnie. Trzygodzinny wysiłek przy stole operacyjnym w bardzo prymitywnych warunkach nie usprawiedliwiał aż tak wielkiego zmęczenia.
- Mam zero ujemną grupę krwi - poinformował ją. Mruknęła coś pod nosem. W jaskrawym świetle lampy Andrew zauważył, że włosy Jennifer są jak dawniej złocistoblonde i gęstymi lokami opadają na ramiona.
- Czujesz coś?
- Nie. Po takiej dawce ksylokainy nawet słoń nic by nie poczuł.
- Mniejsza by nie zadziałała. Rana była do samej kości. Musiało nieźle cię boleć. - Głęboko w łydce poczuł szarpnięcie: kolejny szew założony. - Nic dziwnego, że krwawiłeś jak zarżnięte prosię.
- Grupa zero minus - powtórzył.
- Już mi to mówiłeś. - Wzięła do ręki nożyczki. - Chociaż przyznam, że tego nie zauważyłam. Twoja krew wyglądała całkiem zwyczajnie.
- Nie o to chodzi, pani doktor. Jestem uniwersalnym dawcą.
- Sugerujesz, że zapomniałam, czego mnie uczoneo? O ile dobrze pamiętam, z biochemii byłam lepsza od ciebie. Westchnął. Nic się nie zmieniła. Ciągle uważa, że on ją krytykuje. I natychmiast przystępuje do ataku.
- Sugerowałam, że mógłbym dać krew Liamowi. Trochę hemoglobiny dobrze by mu zrobiło.

- Sam wyglądasz, jakbyś potrzebował małej transfuzji.
- Zmieniła igłę. - Została mi już tylko skóra. Postaram się, żeby nie było brzydkiej blizny. - Zerknęła na pacjenta. - Jesteś bardzo blady. Straciłeś więcej krwi, niż myślałam.
- Wróciła do pracy. - Poza tym nie wiadomo, w jakim sta nie jest twoja krew.
- Co masz na myśli?
- Choroby zakaźne - odparła spokojnym tonem. - Za palenie wątroby oraz HIV.
- Nie dostałbym licencji chirurga, gdybym stanowił takie zagrożenie.
- Skąd oni mogą wiedzieć?
- Bo chirurg ma obowiązek regularnie badać krew. Byłem szczepiony przeciwko zapaleniu wątroby oraz posiadam dokument stwierdzający, że nie mam wirusa HIV - odparł z irytacją.
- Kiedy się badałeś? Zanim przestałeś być chirurgiem, czy później?
- Odrzucił koc. Poczuł, że ponoszą go nerwy.
- Czy to ważne? Interesuje cię również moje życie erotyczne?
- Nie. Jasne, że nie. - Chyba lekko się zaczerwieniła.
- To dobrze. Bo nic ciekawego nie miałbym do powiedzenia. Zanudziłoby każdego. Łącznie ze mną.
- Czuł, że pot spływa mu po twarzy. Czy w tym gabinecie jest aż tak gorąco? Może to objawy stresu związanego z operacją? Dał z siebie wszystko. Teraz za to czuł, że powoli traci kontakt z rzeczywistością. Nawet nie miał siły otworzyć oczu.
- Moje życie erotyczne jest równe zero - usłyszał swój głos.
- Cisza. Może nic nie powiedział? Gdy jednak otworzył oczy, ujrzał nad sobą twarz Jennifer.
- Powiedziałeś, że jesteś w podróży poślubnej.
- To prawda.
- Więc gdzie jest twoja żona?
- Jakie ona ma piękne oczy...
- Nie zabrałem jej - oświadczył wesoło. Co się z nim dzieje? Właśnie przyznał się do porażki! - Wprowadzam w życie nowy zwyczaj. Podróż poślubną w pojedynkę.
- Dobrze się czujesz? - Dlaczego ona się chwieje? - Wyglądasz, jakbyś miał gorączkę.
- Bo tu jest gorąco. Jak w piekle.
- Owszem, jest cieplej. Jimmy rozpałił w starym piecu.

Ale mnie wcale nie jest za gorąco. Zmierz temperaturę.

- Kto to jest Jimmy?

- Dozorca. Mąż Ruby.

- A Ruby?

- Nasza kucharka. - Grzebała w szufladzie. - Gdzie jest ten termometr? Ruby też przyszła. Robi dla wszystkich kanapki. Jesteś głodny?

- Nie. Skończyłaś zszywać mi nogę?

- Jeszcze tylko opatrunek.

W trakcie tych przygotowań do gabinetu wszedł Tom Bartlett.

- Chciałem zameldować panu Stephensonowi, że jego camper jest już u ciebie.

- Dzięki. Jak pogoda? - zapytała policjanta.

- Najgorsze mamy za sobą. Nie było już więcej wypadków. Aha, zapomniałbym, dzieci są już w domu, a Saskia pyta, o której wrócisz.

- Nieprędko.

- Przekażę jej. Czegoś wam trzeba?

- Mamy wszystko. Gdyby nie Andrew, bylibyśmy w nie lada kłopotcie.

- Słyszałem. - Popatrzył na Andrew z uznaniem. -

Przyszedł John Bellamy. Margaret zaprowadziła go do Liama. John chce zamienić z tobą parę słów.

- Powiedz mu, że zaraz przyjdę. - Rozpakowywała plaster. Tym razem Andrew przyglądał się jej badawczo.

- Dzieci? De ich masz?

- Policzmy. - Rozwijiała bandaż. - Angus, który ma trzy lata. Bliźniaczki Jess i Sophie, mają sześć lat, a najstarszy Michael osiem. - Uśmiechnęła się. - I półroczna Yanessa.

Pięcioro dzieci? Najstarsze ośmioletnie? Jego zmęczony mózg z trudem to przyswajał. Nic dziwnego, że nie miał u niej najmniejszej szansy. W pierwszej ciąży musiała być, zanim wyszła za Hamisha. Nic dziwnego, że zrezygnowała z wielkiej kariery. I zarazem zdumiewające, że ma czas w ogóle pracować.

- Skończone. - Wygładziła plaster na bandażu. - Teraz odpocznij. Ruby niedługo przyniesie ci herbatę oraz twoje suche ubranie, a ja tymczasem zajrzę do Liama.

Nie słuchał jej. Dlaczego Jennifer nie nosi obrączki? Gdzie jest Hamish? Czyżby chluba całego roku zakopała się w prowincjonalnym szpitalu? A jeśli go tu nie ma, to skąd wzięły się te jej dzieci? Czy kobieta, która urodziła ich pięcioro, może nadal wyglądać tak młodo i atrakcyjnie? Poczul ucisk w klatce piersiowej.

- Paskudny kaszel. - Jennifer ściągnęła brwi. - Czy na pewno nic ci nie dolega?
- Kaszel został mi po infekcji, którą przeszedłem parę tygodni temu.
- Może powinnam cię porządnie osłuchać?
- Daj spokój. Masz na głowie prawdziwych pacjentów.
- Wendy ze wszystkim sobie poradzi. W razie czego nas wezwie.

Ledwie to powiedziała, do gabinetu zapukała Suzanne.

- Jesteś nam potrzebna, Jen. Druga faza porodu rozpoczęła się godzinę temu. Dziecko się nie odwróciło. Liz jest wyczerpana, a tętno płodu podczas skurczów nieznacznie słabnie.

Tuż obok Suzanne stanęła Wendy.

- EKG Liama jest nieregularne - zameldowała. – Możesz do niego przyjść?

Obserwował Jennifer. Jest na pewno bardziej zmęczona niż on. Była w pracy od rana, zanim przyjechała do wypadku, potem spisała się na medal podczas operacji. Teraz dwoje pacjentów wymaga jej obecności, a w poczekalni są jeszcze lekko ranni z wypadku.

Spuścił nogi z leżanki.

- Ty idź do porodu - zwrócił się do niej - a ja pójdę do Liama.

W drodze na porodówkę z wdzięcznością myślała o Andrew Stephensonie. Gdy jednak przekroczyła próg izby porodowej, zapomniała o nim. Liz leżała z opuchniętą i zapłakaną twarzą. Jennifer sięgnęła po wilgotny ręcznik. Ocierając twarz rodzącej, oceniała stan jej i płodu.

- Jesteś bardzo dzielna, Liz.

Odpowiedziało jej ciche chlipnięcie.

- Tak się staram. Nie mam już siły, a boli mnie coraz bardziej. - Liz pociągnęła nosem. - Dobrze, że Peter nie dojechał. Nie chcę go więcej widzieć. To wszystko przez niego. Nie chcę mieć dzieci.

Jennifer lekko uściśnęła dłoń rodzącej i podała jej maskę podłączoną do pojemnika z tlenem.

- Zrób parę głębokich wdechów. Zaraz cię zbadam.

Masz pełne rozwarcie - oznajmiła po chwili. - A dziecko jest w miednicy. Ale do końca jeszcze daleko. Nadal od czujesz potrzebę parcia?

- Nie mam siły. Jestem zmęczona. Przepraszam, że was zawiodłam.

- Nikogo nie zawiodłaś. Wiem, że chciałaś urodzić własnymi siłami, ale to wystarczy. Pomożemy ci.

- Co zrobicie?
- Pomogę mu wyjść specjalnymi szczypcami.
- Czy to będzie bolało?
- Dostaniesz miejscowe znieczulenie. To nie potrwa długo i na pewno będzie mniej bolesne niż te skurcze.
Wraz z Suzanne zajęły się przygotowaniami.
- Jedynym wskazaniem do porodu kleszczowego - wyjaśniła położnej - jest to, że Liz jest wyczerpana i zacznę niepokoić się o dziecko.
Kilka minut później Jennifer położyła młodej matce kwilącego noworodka na brzuchu.
- Masz śliczną dziewczynkę.
- Dostała dziesięć punktów - z dumą poinformowała je Suzanne.
- Za chwilę urodzisz łożysko. Być może nawet nie poczujesz tych skurczów. Masz bóle?
- Jakie bóle? - Liz śmiała się przez łzy. - Szkoda, że nie ma tu Petera. Jaka ona piękna!
- Wiesz już, jakie dasz jej imię?
- Przez ostatnie kilka godzin przychodziły mi do głowy same nie najładniejsze przyzwiska. Może Wichura?
- Wiatr już się uciszył - rzuciła Jennifer lekkim tonem, ciesząc się z narodzin nowej istotki.
Lecz oprócz zawodowej satysfakcji towarzyszyło jej dziwne uczucie, które przypominało jej o pragnieniu posiadania własnego dziecka. Być może kiedyś to pragnienie się ziści.
- Nie roztkliwiaj się - upomniała ją Suzanne, widząc, z jaką czułością gładzi policzek noworodka. - Dwoje lekarzy wykluczonych z akcji to przesada.

Jennifer nie zdziwiło, że informacja o ataku dusznicy dotarła już do położnej. W tej niewielkiej miejscowości takie wieści roznosiły się lotem błyskawicy.

- O mnie się nie martw. Nie mam na to okazji ani czasu.
- Nie byłabym tego taka pewna. Podobno ten chirurg to twój dawny absztyfikant?
To ją zaskoczyło. Kiedy Sue zdążyła nasłuchać się plotek o Andrew Stephensonie? Zapewne wtedy, gdy zakładała mu szwy. Wydawałoby się, że w dniu tak pełnym wrażeń dziewczyny nie powinny mieć siły interesować się jej zamierzchną przeszłością.
- Nie był moim chłopakiem - oznajmiła z naciskiem.
- Po prostu znajomym.
- I to diabelnie przystojnym. Jak wytłumaczysz jego obecność w Akaroa? Na pewno przyjechał cię odwiedzić.

- To jest jego podróż poślubna.
- Fatalnie - wtrąciła się Liz, która przytulając nowo na rodzone dziecko, miała czas przysłuchiwać się wymianie zdań między lekarką i położną.
- Gdzie wobec tego jest jego żona? - Suzanne była po dejrziwa. - Nie było jej w camperze.
- Bo jej nie ma.
- Podróż poślubna bez żony?
- Nie mam pojęcia, co jest grane. - Ją również intrygował ten fakt, lecz postanowiła skupić się na oględzinach łóżyska Liz. - Sama go o to zapytaj.
- Nie mogę. To sprawa zbyt osobista.
- Też tak uważam. Ostatni raz widziałam go osiem lat temu. Równie dobrze może to być trzecia żona, która dała nogę.

- Akurat. - Z tonu Sue wynikało, że żadna rozsądna kobieta nie rzuciłaby doktora Stephensona.
Zadowolona ze stanu łóżyska Liz, Jennifer uznała, że pora zamknąć tę jałową dyskusję i zająć się ważniejszymi sprawami.

- Liz, zostawiam cię w doświadczonych rękach Sue. - Wyprostowała się, ściągnęła rękawiczki i wrzuciła je do kosza. - Chyba przestało padać. I wiatru wcale już nie słychać. Upewniwszy się, że stan Liama, przy którym nadal siedział Andrew, jest stabilny, postanowiła zajrzeć do Michelle, która zajęła się pozostałymi poszkodowanymi w wypadku. Spotkała młodą pielęgniarkę przed ich pokojem szpitalnym.

- Chyba nic im nie jest. Pan Hessler ma stłuczony bark, a jego żona ciągle płacze, ale trudno się z nią porozumieć, bo słabo mówi po angielsku - relacjonowała Michelle. Upewniwszy się osobiście, że starsi państwo nie odnieśli poważniejszych obrażeń, Jennifer pozostawiła ich jej opiece. Wcześniej unieruchomiła obolały bark panu Hesslerowi i poleciła mu, by następnego dnia pojechał do miasta na prześwietlenie.

Zwolniona z obowiązku doglądania Liama, zrobiła obchód reszty hospitalizowanych pacjentów. Mały Sam Mcm-tosh spał jak suseł, a pani Turner odpoczywała z nogą na poduszce. Wiekowa pani Dobson i Lester przespali całe zamieszanie. Liam tymczasem został przewieziony specjalną karetką na oddział intensywnej opieki w Christchurch. Dochodziła pierwsza w nocy.

- Idź do domu i prześpij się - przykazała jej Margaret nie znoszącym sprzeciwu tonem. - Wszystko jest pod kontrolą. Suzanne i Michelle zostaną tu do rana.

- Ja też mogę zostać - zaofiarowała się Wendy.

- Nie, ty idź do domu - zaprotestowała Jennifer. Będziesz mi potrzebna rano.

- Chętnie się zdrzemnę. Co za dzień!

Z uśmiechem patrzyła na swoje koleżanki zebrane w szpitalnej kuchni. Była zbyt zmęczona, by rzucić się na kanapki, które przyszykowała nieoceniona Ruby.

- Byłyście wspaniałe. Bez was nie dałabym sobie rady

- powiedziała z uznaniem.

- Mogło być znacznie gorzej - zauważyła Wendy. -

Gdyby nie pomoc doktora Stephensona...

- Gdzie on jest? Jadł coś? - przypomniała sobie o nim.

- Powiedział, że nie jest głodny - oświadczyła Michelle.

- Chyba się przebiera - dodała Margaret. - Widziałam, jak Ruby niosła mu wysuszone ubranie.

Jennifer wyszła z kuchni. Sue szykowała kanapki i herbatę dla Liz, a Michelle i Margaret ruszyły, by posprzątać gabinet zabiegowy. Szła ciemnym korytarzem, rozglądając się za Andrew. Musi mu podziękować i znaleźć jakiś nocleg.

Tylko w biurze paliło się światło. Na wszelki wypadek zapukała do drzwi. Nie otrzymawszy odpowiedzi, weszła do środka. Andrew był w trakcie wkładania koszuli w dzinsy, ale miał wyraźne trudności z ich zapięciem.

- Nie mogę znaleźć butów.

- Może jeszcze nie wyschły. - Zauważyła, że trzęsą mu się ręce.

- N-nie ma też m-mojego swe-swetra.

Zdwoiła uwagę. Trząsał się na całym ciele i miał wypieki. Nie wyglądał dobrze. Przypomniała sobie wcześniejszy napad kaszlu. Sięgnęła po stetoskop.

- Nie zapinaj koszuli. Oslucham cię. Usiądź na chwilę.

- Nic mi nie jest.

Nie zwracając uwagi na jego protesty, zaczęła go badać.

- Nie wystarczy ci na dzisiaj tego leczenia? - zirytował się.

- Cicho bądź. - Dotknęła jego czoła i zbadła puls. -

Tego się obawiałam. Częstoskurcz i wysoka gorączka. Musisz się położyć. Zaraz dam ci kroplówkę z antybiotykiem.

- Już to widzę. Mam po uszy tego szpitala. Jadę do siebie.

- Wobec tego powiedz mi, gdzie jest twój dom.

- Tam, gdzie mi się podoba. - Patrzył na nią spode łba.

- Wracam do campera.

- Nie puszczę cię, dopóki nie weźmiesz antybiotyku.

Camper jest pod jej domem. W tym stanie jest wykluczone, by zgodziła się wozić go gdzie indziej. Przynajmniej będzie miała go na oku.

- Musisz brać antybiotyki. Co najmniej przez dziesięć dni. A także oddać mi kluczyki. Do jutra.

- Nie ma mowy.

- Owszem, jest. Twój camper stoi pod moim domem.

Jak się tam dostaniesz?

- Wezwę taksówkę.

- Andrew, tutaj nie ma taksówek. - Popatrzyła na niego

z politowaniem. - Idę poszukać twoich butów, swetra i dużej

strzykawki. Jeśli nie chcesz kroplówki, czeka cię znacznie

bardziej bolesna kuracja domięśniowa - wyjaśniła

z rozbawieniem. - I nie zapinaj spodni. Zaraz wracam.

Jadąc piętnaście minut później w jej aucie, Andrew wyglądał na obrażonego.

- Wystarczyłaby mi garść tabletek - mruknął.

- Jestem innego zdania. Jeśli do rana twój stan się nie poprawi, czeka cię drugie klucie. Należałoby cię jeszcze prześwietlić i zrobić badanie krwi.

- To tylko zapalenie oskrzeli.

- Gadaj zdrow.

W skupieniu jechała do Long Bay. Zaczął się już odpływ i morze nie zalewało szosy. Deszcz zmienił się w mżawkę, więc widoczność była bardzo dobra.

Od czasu do czasu z niepokojem spoglądała w jego stronę.

Siedział obok z zamkniętymi oczami. Pot spływał mu z czoła.

Należało zostawić go w szpitalu. Człowiek tak chory nie może spać w camperze.

Gdy koła samochodu turkotały na drewnianym mostku nad szerokim potokiem, otworzył oczy.

- Dokąd ty mnie wiesziesz? - spytał z irytacją.

- Do mojej rodzinnej posiadłości. - Jechali pod górę

aleją wysadzaną drzewami. - Kiedyś była ogromna, ale

dziadkowie sprzedali większą część. Zostało nam około pięciu hektarów. Głównie dziewiczego buszu.

Wielki piętrowy dom ze spłowiących bali otoczony był

werandą. Przestronny kwadratowy podwórzec otoczony był

jeszcze stajnią, stodołą i bramą wjazdową. Miejsce do

parkowania znajdowało się pod szerokim okapem. W tej chwili stał tam camper Andrew.

Zatrzymali się obok niego.

- Daj mi kluczyki.

- Nie ma mowy. - Drzwi frontowe otworzyły się

i ze schodów werandy zbiegła młoda kobieta w szlafroku.

- To jak tam wejść? - Teraz w głosie Andrew było więcej zmęczenia niż irytacji.

- Ja ci otworzę. Cześć, Saskio, co słychać? - zwróciła się do dziewczyny.

- W porządku. Złamało się kilka gałęzi. Dzieci już śpią. Czekałam na ciebie. - Dziewczyna wpatrywała się w mężczyznę, który wysiadając z auta, uczeplił się drzwi.

- To jest Andrew Stephenson - poinformowała ją Jennifer.

- Wiem. Doug powiedział mi o nim, jak przyholował camper.

Andrew zachwiał się, po czym padł prosto w ramiona Jennifer.

- On jest chory. Pomóż mi zatargać go do łóżka.

Gdy prowadziły go po schodkach, mamrotał coś o camperze i kluczyczkach.

- Gdzie go położymy? - zapytała Saskia. - Na kanapie?

Czy mam przenieść któreś z dzieci?

- Nie budźmy ich. Muszę mieć go na oku. Zaprowadźmy go do mojej sypialni.

- Otóż to. - Tym razem odezwał się całkiem wyraźnie.

- Od dawna o tym marzyłem.

- Nie zwracaj na niego uwagi - uspokoiła zdumioną dziewczynę. - On bredzi.

- Wcale nie jestem taki chory - oświadczył Andrew. -

To prawda, Jen. Od samego początku... - Kaszel nie pozwolił mu dokończyć.

Gdy doprowadziły go do jej sypialni, bezwładnie opadł na łóżko. Z trudem oddychał.

- Rozbiorę go. Przynies z samochodu moją torbę. I, jeśli

dasz radę, butlę z tlenem. - Zdejmowała mu buty. - Mam przecucie, że zanosi się na długą noc.

Andrew nagle otworzył oczy i uśmiechnął się do niej.

- Oby ta noc trwała jak najdłużej. Chodź do mnie. Pożądaj cię.

- Rano pożalujesz tego, co teraz mówisz. Jeśli cokolwiek zapamiętasz.

Zamknął oczy i odwrócił głowę. Popatrzyła na mężczyznę, który zajął jej łóżko.

- Ja też mogę pożalować tej nocy - powiedziała do siebie. - I na pewno dobrze ją zapamiętam.

ROZDZIAŁ CZWARTY

To był oczywiście sen, ale Andrew wcale nie chciał się budzić. Towarzyszyły mu wszystkie typowe i męczące doznania: nogi odmawiały posłuszeństwa, a język się plątał. Mimo to wiedział, do kogo należą te chłodne dłonie, potrafił skupić się na tym tonie głosu, chociaż nie mógł podnieść powiek. Czuł ogromną wdzięczność, gdy te ręce zwilżały jego spękane wargi. Gdy otwierał oczy, rozpoznawał kobietę, która śniła mu się od wielu lat.

W tym śnie zjawiały się również inne postacie. Większość z nich to bardzo ruchliwe karzelki. Nieco od nich wyższa dziewczyna miała kolko w nosie i skołtunionie włosy fioletowego koloru, a tłuste niemowlę jeździło w czerwonej plastikowej taczce. W snach wszystko jest możliwe. Regularnie nawiedzały go psy, na przykład ogromny, czarny kudłacz, który ukazywał się w polu jego widzenia, gdy przestawał mu dokuczać dziwny ciężar na nogach. Upajał się tym snem, mimo świadomości że lada moment może przemienić się w senny koszmar.

Po jakimś czasie zorientował się, że wzrok nieco mu się poprawia. Widział nad sobą złociste źrenice Jennifer, która pochylała się nad nim, osłuchując go stetoskopem. Podziwiał szczupłe palce, w których trzymała termometr. Miała kształtne, zadbane paznokcie. Ale dlaczego nie nosi pierścionka ani obrączki?

Potem dotarły do niego imiona: Michael, Jess, Sophie i Angus. Ten ostatni miał skłonność do wycia niczym syrena przeciwpożarowa. Yanessa jeździła w czerwonej taczce, którą zazwyczaj pchał Michael. Dziewczyna z okropną fryzurą nazywała się Saskia. Wszyscy zawsze się uśmiechali. Jak mógł zapomnieć jej pięknie wykrojone wargi, drobne zęby i dołeczki po obu stronach ust, gdy się śmiała? Może wołał o tym nie pamiętać, ponieważ wtedy nigdy się do niego nie uśmiechała. Teraz, dziwnym zrządzeniem losu, jej uśmiech należał tylko do niego.

- Wyglądasz znacznie lepiej - powiedziała, strząsając termometr. - Po raz pierwszy spadła ci temperatura.

- Super. - Jego głos bardziej przypominał skrzeczenie. Ile czasu upłynęło, odkąd coś powiedział?

- Byłeś bardzo chory.

- Naprawdę? Przyznam, że nie wiem, co działo się przez

parę godzin. Spałem.

- O nie. Byłeś w malignie. I to przez kilka dni.

- Niemożliwe. - Przypatrywał się jej podejrzliwie. - To nieprawda.

- Prawda. Gdybyś nie był aż tak chory, przewiozłabym cię do szpitala. Musiałam tutaj zorganizować szpitalną salę. Rozejrzyj się.

Spojrzał za siebie. Stojak z kroplówką. Dopiero teraz zauważył, że jest do niej podłączony.

- Uwolnię cię od tego. Od dzisiaj będziesz dostawał antybiotyki doustnie. Mam nadzieję, że jesteś w stanie wypić coś chłodnego.

- Jestem potwornie spragniony - przyznał. - I nadal bardzo zmęczony. Czy jesteś pewna, że nie śnię?

- Absolutnie. Nie pamiętasz nawet, jak wyprowadzałyśmy cię do łazienki?

- Nie. - Poczul się zażenowany. - Gdzie ja właściwie jestem?

- W moim domu - odrzekła z rozbawieniem. - A konkretnie w moim łóżku.

- O kurczę. To straszne.

- Pierwszej nocy byłeś całkiem innego zdania. Ale za pomnijmy o tym. I o wyprawach do łazienki. - Odsunęła się od łóżka. - Uważaj, jak będziesz wstawał. Na pewno masz nogi jak z waty. Tu masz szklanekę z wodą, ale zanim wyjdę do pracy, chętnie wypiję herbatę w twoim towarzystwie.

- Chyba jeszcze pośpię.

- W porządku. Saskia będzie do ciebie zaglądać, jak tylko odprowadzi dzieci do szkoły.

Nie dopytywał się, kim jest Saskia. Na razie miał dosyć nowych informacji. Zamknął oczy i czekał, aż wróci przerwany sen. Przez chwilę wydawało mu się, że tak się stało, bo przemówiła do niego dziewczyna z fioletowymi włosami. Chociaż nie rozumiał, o co jej chodzi, pojął, że domaga się odpowiedzi.

- Co ty na to?

- Słucham? - Odkaszlnął. - Kim jesteś?

- Mam na imię Saskia. Jestem gosposią Jen. I opiekuję się dziećmi.

Oblizal spierzchnięte wargi. Ta dziewczyna nie może być prawdziwa.

- Saskio, nie chciałbym cię urazić, ale powiedz, co stało się z twoimi włosami?

Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko. Ile ona ma lat? Szesnaście? Za młoda na gosposię. O hordzie dzieci Jennifer wolał nawet nie myśleć.

- Nigdy nie widziałeś dredów?

- Chyba widziałem. - Imponowała mu jej pewność siebie.

- Ale nie fioletowe.

- Ten kolor nazywa się bakłażanowy. - Potrząsnęła głową. - Elvis, złaź.

O mało nie wybuchnął śmiechem. Istny cyrk. Za chwilę dziewczyna o fioletowych włosach przedstawi mu ducha Elvisa Presleya. Nagle poczuł, że ciężar, który spoczywał mu na nogach, zniknął. Za to u boku Saskii pojawił się kudłaty, czarny pies, który przyjaźnie wymachiwał ogonem.

- Przepraszam w jego imieniu. Ciągłe wchodzi na twoje łóżko. Chyba cię lubi. Zrobić ci coś do jedzenia?

- Do jedzenia? - W jego śnie jedzenie nie występowało.

- Umiem niezłe gotować - pochwaliła się. - Zwłaszcza z puszek. Jestem mistrzynią zup oraz fasolki.

- Zupa? To brzmi wspaniale. - Poczuł, że już się rozbudził oraz że musi wstać. - Saskio... - Przyglądała mu się uważnie. - Gdzie jest łazienka?

- Tutaj. - Wskazała na drzwi za sobą. - Dobrze, że położyliśmy cię w sypialni Jen. Nie było łatwo namówić cię do przejścia tych paru kroków. Pomóc ci?

- Dzięki. Chyba dam sobie radę.

- W porządku. - Nie nalegała, respektując jego zmieszanie. - Tam jest też prysznic. A na umywalce Jen zostawiła dla ciebie golarkę. - Nie przestawała się uśmiechać. - Taki kilkudniowy zarost nie przystoi...

Dotknął brody. Niepodważalny dowód na, to, jak długo był nieprzytomny.

- Chyba wyglądam okropnie.

- No - przytaknęła. - Ciągłe jesteś blady i masz zapadnięte policzki. Lepiej to zgolić. - Popatrzyła na niego krytycznym wzrokiem. - Ale jak trochę doprowadzisz się do porządku, to będziesz nawet całkiem przystojny.

Rozpromienił się.

- Zrobię, co się da.

Jennifer była zaskoczona wyglądem Andrew. Ogolona twarz wyglądała zdecydowanie lepiej, ale najbardziej ucieszył ją nikły jeszcze rumieniec na policzkach. Przez kilka dni miała poważne wątpliwości, czy słusznie zdecydowała, żeby nie przewozić go do szpitala, choć poparł ją w tym Brian.

- W dawnych czasach zapalenie płuc zawsze leczyło się w domu. To jest młody i silny mężczyzna. Masz cały zestaw

antybiotyków, które możesz zmieniać w zależności od wyników badania krwi. Ma pod dostatkiem płynów i na pewno będzie miał tu więcej spokoju niż w szpitalu.

Nie była o tym do końca przekonana. Na dodatek dręczyły ją wyrzuty sumienia. Czy Andrew rzeczywiście jest taki silny? Na dodatek jest kilka lat od niej starszy. Medycyna jest jego drugim fakultetem. Wygląda na więcej niż trzydzieści sześć lat i jest znacznie szczuplejszy niż na studiach. Prawdę mówiąc, sprawia wrażenie zabiedzonego. Nic dziwnego, że zwyczajne przeziębienie rozwinęło się w za-

palenie płuc. Tym bardziej że tyle godzin spędził, pomagając przy wypadku w paskudną pogodę.

Potem zapomniała dać mu coś suchego do przebrania się i zmusiła do wykonania wielogodzinnej, wyczerpującej operacji. Na dodatek z powodu rany w nodze stracił dużo krwi. A skoro mowa o spokoju, doskonale zdawała sobie sprawę, że jej dom często niewiele różni się od cyrku. Sporo się natrudziły wraz z Saskią, by powstrzymać wycieczki ciekawskich do pokoju, w którym go umieściły.

Jakby wyczuwając jej myśli, Andrew otworzył oczy.

Przyglądali się sobie w milczeniu.

Pod wpływem tego spojrzenia Jennifer poczuła się niepewnie. Jej pacjent jest już w pełni władz umysłowych, ale jego bezradność w trakcie minionych dni sprawiła, że teraz wydał się jej kimś zupełnie obcym. Nareszcie nie próbuje jej udowadniać, że jest od niej lepszy. Taka zależność od niej była dla tamtego Andrew nie do pomyślenia. Może teraz zdobędzie się na jakąś polemikę. Poczulaby wtedy, że nareszcie jest na znajomym terenie. Mogłaby zapomnieć o tym, jaką przyjemność sprawiało jej opiekowanie się nim i uznać swój dług wdzięczności za jego poświęcenie za słacony. Mogłaby nawet rozgrzeszyć się z wymuszenia na nim tej pomocy.

- Pora wziąć prochy - przerwała milczenie.

- Która godzina?

- Trzecia po południu. Wróciłam wcześniej. W szpitalu nic się nie dzieje, więc pomyślałam, że ten czas poświęcę dzieciom.

Ożywił się na wzmiankę o szpitalu.

- Masz informacje o Liamie?

- Wyłącznie pomyślne. Nadal jest na oddziale intensywnej opieki i podłączony do respiratora, ale już wyjęto mu dreny. Potrzebna była transfuzja, ale na salę operacyjną nie wrócił. - Zawahała się. - Pytano o operację oraz o to, kim jesteś. Szpital w Christchurch zażyczył sobie sprawozdania.

- Jasne, powinienem był to zrobić od razu. To bardzo nieprofesjonalne postępowanie.
- To nie była typowa sytuacja. Mieliśmy kryzys, a ty już byłeś chory. - Przygryzła wargi. - Przepraszam, że cię do tego zmusiłam.
- Jakoś to przeżyłem.
- Powiedzmy...
- Możesz mi dać papier i długopis? Napiszę im ten raport.
- Nie spiesz się. Na razie wystarczyły im moje wyjaśnienia. Liam umarłby, gdybyś go nie zoperował i oni do skonałe o tym wiedzą. To zwyczajna formalność. Poczekaj, aż wydobrejesz.
- Już wydobrałem - oznajmił.
Niezdarnie usiłował się podnieść. Po części z winy Elvise, który znowu leżał mu na nogach.
- Elvis, złaż z łóżka. - Głos Jennifer zabrzmiał bardzo groźnie. Rozległ się odgłos trzepania ogonem w kołdrę. Reszta psa ani drgnęła.
- Niech sobie leży.
- Zdaje się, że przyjął cię do stada. - Podała Andrew tabletki oraz szklankę z wodą. - Popij.
Bez szemrania wykonał jej polecenie.
- Nie zapytasz, co to jest?
- Miałaś sporo okazji, żeby mnie otruć. Byłbym nie-

wdzięcznikiem, gdybym teraz stracił do ciebie zaufanie. - Opuścił wzrok. I dopiero wtedy zauważył asystę Jennifer. Ogromny kocur ocierał się o jej nogi, a małe czarne kotki z zapalem polowały na biały koniec swojego ogonka. Andrew uśmiechnął się. Ten dom to nie cyrk, lecz prawdziwe zoo. Jennifer także wyglądała na rozbawioną.
- Kot wabi się Tygrys i nie wymaga to żadnego komentarza, a to maleństwo z równie oczywistych powodów na razie ma na imię Problem. Jadłeś coś?
- Zupę.
- Z puszek?
- Chyba tak. - Przypomniał sobie, co Saskia mówiła o swoich talentach kulinarnych. - Bardzo mi smakowała. Jennifer pokiwała głową.
- Dzisiaj Saskia przygotowuje kolację. - Rzuciła mu porozumiewawcze spojrzenie. - Mogę zrobić ci omlet.
- Nie chcę sprawiać kłopotu. - To oczywiste, że przez niego w tym domu zapanował totalny chaos. On sam nigdy nie śmiałyby się tak narzucać, zwłaszcza Jennifer Tremaine. Nawet nie podejrzewał, że jeszcze kiedykolwiek ją spotka. Westchnął. Podróż poślubna.

- To żaden kłopot - zapewniła go. - Ja też wolę omlet.

Nie słuchał.

- Gdzie jest camper?

- W stajni.

- Piętnastego miałem go odwieźć do wypożyczalni w Christchurch. Którego mamy dzisiaj?

- Dziewiętnastego. Nie ruszysz się stąd jeszcze przez kilka dni.

Nie protestował. Chyba miała rację. Wizyta w łazience dała mu się nieźle we znaki. Z trudem wykonał wszystkie zabiegi higieniczne. Był słaby i przy najmniejszym wysiłku brakowało mu tchu. Jego milczenie było dla niej sygnałem, że wygrała tę bitwę. Ciszę przerwał tupot stóp pod drzwiami.

- Jen, zgadnij, co się stało? - Dwie rozgorączkowane dziewczynki wpadły do sypialni. Karzełki wróciły, ale tym razem nie mogły być ze snu. Były nadto hałaśliwe.

Jennifer uciszyła je gestem.

- Pan Stephenson jeszcze nie wyzdrowiał.

- On ma na imię Drew - oznajmiły chórem bliźniaczki.

- Saskia nam powiedziała.

- Myślę, że wolałbyś, żeby dzieci do ciebie tak się nie zwracały, prawda? - Wpatrywała się w niego wyraźnie speszona.

- Wcale mi to nie przeszkadza. - Chciał zapytać, co Jennifer ma przeciwko temu, ale ona myślami była zupełnie gdzie indziej.

To prawda. Nigdy nie nazwała go "Drew". Tylko jego najbliżsi przyjaciele posiadali ten przywilej. Ale też i ona nie zaproponowała, by używał zdrobnienia jej imienia. Zdarzyło mu się to tylko tej nocy, kiedy zachorował i nie miał pojęcia, co wygaduje. Musiała potem gęsto tłumaczyć się przed Saskią, że między nimi nigdy nic nie było. Nigdy.

- Będzie jutro! - krzyknęła Sophie. - Kupisz przed szkołą?

- Mnie interesują wiadomości - oznajmiła Jess.

- Mnie też.

- Może się podzielicie? - O czym one mówią, zastanawiała się Jennifer.

- Wolałybyśmy, żeby każda miała swoją. Prosimy cię.

Od odpowiedzi wybawił ją wysoki chłopiec, który wszedł w tej chwili do pokoju. Ciągnął za sobą czerwoną taczkę, tym razem z dwójką dzieci. Za nimi wpadł nieduży łaciaty piesek. Kocur ze stoickim spokojem wskoczył na łóżko, po czym dał nura

pod kołdrę. Andrew zamrugał powiekami i zamarł z głupawym wyrazem twarzy.

- Cześć, Mike - Jennifer powitała chłopca. – Też chcesz jedną dla siebie?

- O co chodzi? - Chłopiec zerknął na Andrew, po czym wbił wzrok w podłogę. Tylko tego trzeba było bliźniaczkom.

- O gazetę! - wrzasnęły unisono. - Z naszym zdjęciem! Mike wzruszył ramionami.

- Facet zrobił to zdjęcie, bo mu się podobały włosy Saskii.

- Nieprawda. Chciał nas mieć wszystkich.

- Ile osób jest na zdjęciu? - zapytała pośpiesznie Jennifer. - Cała szkoła?

- Nie. Tylko my z Saskia.

- Wpadliśmy do szpitala, żeby się z tobą zobaczyć, ale już wyjechałaś - tłumaczyła Jessica. - Przyjechała ekipa, żeby pociąć i zabrać to drzewo z podjazdu i fotograf z naszej gazety poprosił, żebyśmy usiadły na tej gałęzi, żeby było widać, jaka jest wielka.

Maluch wygramolił się z taczki.

- Psyjechał wielki wóz. Z łyską - powiedział.

- Angus, to się nazywa buldożer - poprawiła go Sophie, jedna z jego siostr bliźniaczek. Wzięła go na rękę. - Przyjechał, żeby zrobić porządek.

- Nareszcie. - Jennifer przez dwa dni walczyła o uporządkowanie wjazdu do szpitala. - Wszyscy macie zdjęcie w gazecie! Fantastycznie! Jeden egzemplarz gazety wyślemy waszemu tacie.

Andrew nie krył zdumienia. Tatuś tutaj nie mieszka? To znaczy, że zniknął całkiem niedawno. Niemowlę w taczce, chyba Yanessa, miało najwyżej sześć miesięcy. Wygląda na to, że rozstali się jak przyjaciele. Jennifer sprawiała wrażenie nawet bardziej zadowolonej z perspektywy wysłania zdjęcia ojcu niż dzieci.

Z oddalonej części domu rozległo się wołanie, które sprawiło, że dzieciarnia błyskawicznie rzuciła się do drzwi. Łaciaty piesek aż wpadł w poślizg na zakręcie, za to Elvis nawet nie mrugnął powieką.

- Zaproszenie na podwieczorek - wyjaśniła Jennifer. -

Miejmy nadzieję, że Saskia niczego dzisiaj nie upiekła. -

Zniżyła głos. - Jej ciasteczka są jak kamienie.

- Masz sporą gromadkę - zauważył, siląc się na uśmiech.

- Owszem, mimo że to nie był mój wybór. Ale nikomu

bym ich nie oddała, chociaż bywają meczące. Zwłaszcza gdy są razem. Postaram się ograniczyć ich wizyty u ciebie.

- Wcale mi nie przeszkadzają. Już zdążyłem je polubić

- wyznał ku własnemu zdziwieniu.

- Chciałam mieć dużą rodzinę, ale nie wiedziałam, że stanie się to tak szybko.

- Jestem pełen podziwu, jak poradziłaś sobie z praktyką i stażem.

- Wtedy ich nie miałam.

Czyżby i w ten sposób dawało mu się we znaki ogólne osłabienie?

- Nie rozumiem. Michael ma przecież osiem lat.

- Prawie dziewięć. - Nareszcie do niej dotarło. - Czy

ty myślałeś, że to są moje własne dzieci?

- Oczywiście. - Poczul się głupio. - Czyje one są?

- Mojej siostry. - Taka odpowiedź musi go zadowolić. Nie podobał się jej sposób, w jaki wyciągał od niej informacje, ale trzeba mu wybaczyć ciekawość. - Oprócz tego – podrzuciła na rękach niemowlę - Yanessa jest córką Saskii.

- Co takiego? Saskia sama jest jeszcze dzieckiem.

- Ma siedemnaście lat. Kiedy ją znalazłam na plaży, była w piątym miesiącu ciąży. Rodzina wyrzuciła ją z domu. Od tamtej pory mieszka z nami.

- Gdzie mieszka twoja siostra?

- Już nigdzie. Umarła ponad rok temu.

Zorientował się, że nie miała ochoty o tym mówić, ale za wszelką cenę chciał poznać odpowiedź na jeszcze jedno pytanie.

- A Hamish? Nadal jesteście małżeństwem?

- Nie pobraliśmy się.

- Byliście zaręczeni. Przez całe studia.

Westchnęła.

- To długa historia. Muszę iść na dół. Pomóc dzieciom przy odrabianiu lekcji i wykąpać Yanesse. Odpocznij.

Zebrał się na odwagę, gdy kładła dłoń na kłamce.

- Jen...

Jest całkiem przytomny, a nazwał ją Jen.

- Chciałbym poznać twoją historię. - Wreszcie zebrał się na odwagę!

- To moja prywatna sprawa - odparła chłodno. - Tak jak to, dlaczego ty zrezygnowałeś z chirurgii.

Czy to jest dalszy ciąg gry w pokazywanie, kto jest lepszy?

Grali w to przez całe studia. Nie miał wtedy oficjalnej narzeczonej, ale stale pokazywał się z nową przyjaciółką, by

Jennifer nie zorientowała się, jak puste jest jego życie emocjonalne.

- Zawrzyjmy układ - zaproponował półgłosem. – Wy-
mieńmy się opowieściami o sobie.

Czy interesuje ją jego przeszłość? Otworzyła drzwi, ale nie wychodzi. Widać było, że bije się z myślami.

- Na razie powiedz mi tylko jedno. Gdzie jest twoja żona?

- Nie mam żony. I nie miałem.

- Dlaczego powiedziałeś, że to jest twoja podróż po ślubna?

- To długa historia. - Uśmiechnął się zwycięsko. -

Dzieci na ciebie czekają.

- Jeszcze tu wrócę.

Gdy opadł na poduszki, Elvis westchnął rozkosznie, a Tiger poprawił się na jego piersi i zaczął głośno mruzczyć. Bardzo mili goście.

Jennifer nie wyszła za Hamisha Rydera.

To nie są jej dzieci.

I obiecała wrócić.

Poczuł, że znalazł się w najprzyjemniejszym miejscu pod słońcem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Życie zaczęło biec normalnym torem.

Przeróżne konsekwencje wichury powinny ją zmęczyć, ona natomiast czuła się dziwnie zadowolona.

Tego popołudnia przyjęła normalną liczbę pacjentów. Pięcioro.

Potem przyszła Jill z Samem na wizytę kontrolną. Uderzenie drzwiami w głowę nie miało żadnych poważnych następstw.

Zaprosiła Sama, by następnego dnia przyszedł pobawić się z bliźniaczkami.

- Jutro jest sobota. Przyjdź do nas na lunch - zwróciła się do chłopca. - Możesz zostać, jak długo zechcesz. Jeśli utrzyma się ładna pogoda, osiodłamy Buttona i będziecie mogli sobie na nim pojeździć.

- Jak wyjrzy słońce, od razu robi się inaczej - westchnęła jego matka. - Czy jesteś pewna, że Sam nie będzie wam przeszkadzał? - zapytała, zbierając rzeczy synka. - Zwłaszcza podczas posiłków.

- Ani trochę - zapewniła ją Jennifer.

- Wczoraj widziałam camper na szosie. Czy doktor Stephenson już wyjechał?
- Nie. Camper został zabrany przez człowieka z wypożyczalni.
- Rozumiem, że doktor Stephenson zostanie tu przez jakiś czas - zadumała się Jill.

- Niekoniecznie. W każdej chwili może pojechać auto busem. Szkoda płacić sto dolarów dziennie za camper, z którego się nie korzysta.
- Jasne. - Jill podejrzanie się ociągała. - Podobno był poważnie chory.
- Owszem. Dopiero za jakiś czas stanie na nogi.
- Słyszałam, że to kolega ze studiów. - Rzuciła Jennifer uważne spojrzenie
- To prawda. - Nie ciągnęła tego wątku. Odbieranie dzieci ze szkoły jest dla rodziców doskonałą okazją do wymiany przeróżnych plotek. Jakimi informacjami podzieliła się z nimi Saskia? Dzieci? Na jej szczęście Sam miał już dosyć wizyty w gabinecie lekarskim.

- Na pewno macie o czym rozmawiać - drążyła Jill.
Jennifer skwitowała tę uwagę uśmiechem.
- Chodźmy już. Jestem głodny - nudził sześciolatek.
- Do jutra, Sam. - Pożegnali się, a Jennifer ruszyła na obchód szpitala.
Jill nawet nie wiedziała, ile racji było w jej stwierdzeniu, że ona i Andrew muszą wyjaśnić sobie sporo spraw. Nawet zawarli układ. Ale minęły już prawie dwa dni i nic z tego nie wyszło. Andrew część czasu spędzał poza łóżkiem, ale zawsze w otoczeniu dzieciaków. Zwłaszcza bliźniaczek. Kilkanaście razy obejrzał ich zdjęcie w gazecie, musiał wysłuchać ich prac domowych oraz podziwiać Zippy'ego, teriera.
Przy okazji został zasypany kartami z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia, do czego potrzebny był klej, tekturki, makaron muszelki i farby plakatowe. Czas po kolacji upłynął dorosłym na szorowaniu Angusa i Zippy'ego.

Gdy dzieci w końcu położyły się spać, Andrew też już zniknął. Nie wydawał się zmartwiony brakiem własnego środka lokomocji. Zaproponował, że przeniesie się do domku drwała lub do motelu, ale Jennifer oświadczyła, że jest jej bardzo dobrze w sypialni bliźniaczek. Nie pozwoli mu ruszyć się z miejsca, dopóki nie stwierdzi istotnej poprawy.
- Nadal jesteś moim pacjentem - zauważyła. - Straciłabym cały szacunek jako lekarz, gdybyś zasłabł na ulicy.

Albo w motelu.

- Jeszcze dzień albo dwa. Wkrótce stanę na nogi - oznajmił swobodnym tonem.

- Zobaczymy.

Troska o stan pacjenta jest jej podstawowym obowiązkiem. Była przekonana, że nie nastąpi to aż tak szybko. Cieszyło ją ponadto, że to ona panuje nad sytuacją.

Pacjenci szpitalni też nie przysporzyli jej wielu kłopotów.

Ostatnim jej zadaniem tego dnia było wyprawienie do domu Liz z dzieckiem. W końcu przyjechał po nie dumny ojciec, Peter. Towarzyszyła im aż na parking.

- Do zobaczenia, mała Brooke. - Posłała noworodkowi całusa. - Przez jakiś czas Suzanne codziennie będzie do was przyjeżdżała, żeby sprawdzić, jak sobie radzicie. Dzwońcie, jeśli coś was zaniepokoi. I odwiedźcie mnie, kiedy mała skończy sześć tygodni - przypomniała im na pożegnanie. Gdy samochód Petera wyjeżdżał z parkingu, na jego miejsce zajęchało inne, dobrze jej znane auto.

- Wcześniej wróciłeś - zauważyła, zwracając się do Briana. - Sądziłam, że potrzymają cię dłużej na tej kardiologii. Mieli ci zrobić całą listę badań.

- Uwinęli się. Rentgen, EKG, echo, próba wysiłkowa i badania krwi. Oraz konsultacja. Zaimponowali mi.

- Co orzekli?

- Jestem na dodatkowej liście do angiografii. Być może trzeba będzie powtórzyć angioplastykę. Lub założyć mi bypass.

- Skrzywił się. - Zdaje się, że oblałem testy wysiłkowe. Ruszyli razem do wejścia.

- Jak długo byłeś na bieżni?

Nie kwapił się z odpowiedzią.

- Jak długo szedłeś?

- Dziewięćdziesiąt sekund.

- Dlaczego trzeba było przerwać?

- Zabrakło mi tchu.

- Z obniżeniem odcinka ST?

- Niewielkim. - Energicznie otworzył drzwi. - Królestwo za filiżankę herbaty! Co Ruby dzisiaj upiekła?

- Nie zmieniaj tematu. I tak przyślą mi kopię twoich wyników. Ile wynosiło to obniżenie?

- Cztery milimetry. Może pięć.

Nic dodać, nic ująć. Dopływ krwi do serca Briana gwałtownie maleje już przy minimalnym wysiłku.

- Powinieneś znaleźć się na bardzo pilnej liście do koro-

narografii.

- Lista nie jest potrzebna. Za kilka tygodni mam mieć wyznaczony termin. Nie spieszy mi się, żeby usłyszeć złe wiadomości. A co tutaj?

- Spokojnie. Peter przed chwilą zabrał do domu Liz z dzieckiem. Pacjenci hospitalizowani bez zmian, a w przychodni zdecydowałam, że pani Scallion należy zacząć po dawać beta bloker.

- Biorę na siebie sprawdzenie jej poziomów glukozy.

- Ruszył w stronę kuchni. - Jak tylko wypiję herbatę.

Witaj,

Ruby. - Uśmiechnął się szeroko do drobnej kobiety w ob- szernym fartuchu. - Czy mnie oczy nie mylą? Czy to jest twoje wyśmienite ciasto czekoladowe?

- Oczywiście. - Ruby rozpierała duma. - Ale nie wiem, czy panu wolno, doktorze.

- W szafce są dietetyczne krakersy - rzuciła Jennifer niewinnym tonem. - A w lodówce chudy twarożek.

- Dzisiaj jesteś już wolna. - Łypnął na nią złym okiem.

- Nie życzę sobie, żeby i tu wydawano mi polecenia.

Tutaj

ja rządę. Ruby, kochanieńka, zrób mi herbatę i poczęstuj kawałkiem tego pysznego ciasta.

Jennifer nie miała serca zaprotestować. Pozwoliła też, by tego dnia Brian wziął na siebie wieczorne wizyty domowe. Wyniki badań na pewno stanowiły dla niego poważny wstrząs.

Oznaczały, że powoli będzie musiał godzić się z myślą o porzuceniu ukochanego zawodu. Z jednej strony był pełen uznania dla jej osiągnięć podczas wichury, z drugiej jednak na pewno było mu przykro, że uznano go za niezdolnego do udziału w akcji. Jennifer może przejąć część jego obowiązków, ale nie ma prawa zupełnie go eliminować. Brian jest jej starszym wspólnikiem i nadal kieruje spółką.

Możliwość wcześniejszego powrotu do domu bardzo ją ucieszyła. Słoneczna pogoda przypominała o wiosnie i obudziła marzenia o lecie. Sięgając pamięcią wstecz, Jennifer ujrzała własne szczęśliwe dzieciństwo: pikniki na plaży, jazdę na kucykach, puszczanie łódek na strumieniu. Wiosna i lato dostarczą jej wielu okazji przeżycia tego jeszcze raz, tym razem z gromadką siostrzeńców. Może o tyle łatwiej zbliznią się ich rany? Może biedny Michael nareszcie wyjdzie ze swojej skorupy?

Andrew uznał, że weźmie udział w rodzinnym obiedzie.

Chociaż wyglądał dużo lepiej, zauważyła, że musiał zatrzymać

się na schodach, by złapać oddech. Jadł bardzo mało, ale pochwalił lasagne Saskii.

- Z zamrażarki - przyznała się. - Mimo to czasami po trafię je przypalić.

Po obiedzie Andrew przeszedł do salonu, gdzie bardzo powoli rozpałił w kominku, po czym usadowił się na kanapie.

- Znudziło mi się leżenie w łóżku - wyjaśnił, gdy Jennifer zasugerowała, że powinien odpocząć. - Będę lepiej spał, jeśli teraz trochę się zmęczone.

Wobec tego zajęła się kładzeniem do spania małego Angusa. Potem przyszła kolej na inspekcję w łazience po kąpielii bliźniaczek. Ciężko westchnęła na widok koszmarnego bałaganu. Mokre ręczniki, ubrania i kąpielowe zabawki zaściełały całą podłogę. Dziewczynki zostawiły to wszystko i ulotniły się. Wyciągnęła korek z wanny i wyłowiła resztę zabawek, włącznie ze szmacianą lalką, której miejsce było zupełnie gdzie indziej. Wyszła z łazienki z solennym zamiarem pouczenia dziewczynek, że już są na tyle duże, że muszą po sobie posprzątać.

Jednak jej bojowy nastrój uległ kompletnej zmianie, gdy znalazła się w atmosferze salonu. Miała przed sobą klasyczną rodzinną scenę rodzajową. Na kominku płonął ogień. W wielkim fotelu siedziała Saskia, karmiąc z butelki Vanesę. Michael leżał przed kominkiem i pogrzebaczem odbijał Zippy'emu piłkę. Jessica i Sophie, w puszystych piżamkach, siedziały po obu bokach Andrew. Na jego stopach leżał ogromny łeb Elvisa, a na kolanach drzemał Tiger. Andrew czytał dziewczynkom książeczkę. Widząc, jak są zasłuchane, zrezygnowała z zamiaru wysłania ich na górę. Może ta historyjka, czytana męskim głosem, spodoba się nawet Michaelowi?

Chłopiec jednak nie wyglądał na zaniepokojonego. Właśnie obserwował skutki rozsypania żaru na dywanik przed kominkiem.

- Nie rób tego - półgłosem zwróciła mu uwagę. - Możesz spowodować pożar.

W tej samej chwili Andrew skończył czytać.

- Teraz ta. - Jessica już mu podawała drugą książeczkę.

- Nie, ta! - Róg książki Sophie dotknął Tigera.

- Nie rób tego - wrzasnęła Jessica. - Andrew, ona spycha kota.

- Czuję to. Wbił mi pazury w kolano, żeby nie spać.

- Powiedz jej, żeby przestała - nalegała Jessica. - Ona wybrała pierwszą książkę, więc teraz jest moja kolej.

- Koniec czytania. - Jennifer pospieszyła Andrew na ratunek.

- A wy, marsz na górę.

- Drew może nam poczytać w łóżku.
 - Nie dzisiaj. Drew jest zmęczony. Poza tym musicie posprzątać w łazience.
 - Michael znowu dziobnął polano pogrzebaczem.
 - Pora do łóżka - ostrzegła go Saskia.
 - Wcale nie - zaprotestował głośno. - Mam prawie dziewięć lat i mogę iść spać o ósmej. - Pogrzebacz z hukiem wylądował na podłodze. - Dlaczego nie mamy telewizora? Wszyscy w klasie mają telewizor. Nie mamy nawet komputera.
 - Dziewczynki, na górę! - zawołała Jennifer.
 - Mam komputer - odezwał się Andrew. - Chcesz go obejrzeć?
 - Nie.
 - I tak zamierzałem go wyjąć, bo muszę napisać raport dla Jennifer.
 - Możemy go zobaczyć? - zainteresowała się Sophie.
 - Jutro. - Jennifer wyręczyła Andrew.
 - Po co ci komputer? - dopytywała się Jessica. -I gdzie go masz?
 - W kartonie.
 - Jennifer zaniósła twoje rzeczy do chaty. - Jessica robiła, co mogła, by opóźnić rozstanie. - Widziałyśmy te pudła. Masz strasznie dużo rzeczy.
 - To cały mój dobytek - odparł z powagą.
 - Co to jest dobytek?
 - Rzeczy.
 - Mieszkałeś w camperze? Nie masz domu?
 - Już nie - przyznał.
 - To gdzie mieszkasz?
 - Nigdzie.
 - A ja wiem gdzie - ucieszyła się Sophie. - U nas.
 - Tutaj bezdomni i włóczędzy są mile widziani - rozpromieniła się Saskia. - Na przykład ja.
 - Czy ja jestem włóczęgą? - Jessica nie dawała za wygraną, ale Jennifer pociągnęła ją za rękę.
 - Na górę.
-
- Dobranoc, Drew. Dobranoc, Mikę - powiedziały bliźniaczki zgodnym chórem. Mikę nie zareagował. Przysunął się bliżej kanapy i bawił ogonem psa.
 - Masz w komputerze jakieś gry?
 - Oczywiście.
 - Mikę, weź latarkę i pokaż Drew, gdzie są jego rzeczy
 - zawołała już ze schodów Jennifer.

Układając dziewczynki do snu, zastanawiała się, czy komputer obudzi w chłopcu jakieś zainteresowanie. Może tego mu właśnie trzeba. Zapyta Drew, jaki komputer byłby dla Mike'a odpowiedni.

Drew. Teraz już nawet ona oswoiła się z tym zdrobnieniem. Przybytek bezdomnych i włóczęgów? Całkiem trafne określenie. Ale Andrew Stephenson nie należy do tej kategorii. A może zakwalifikował się do niej, gdy poważnie się rozchorował? Niewątpliwie pasuje do tego domostwa. Nie jest już osobą obcą, ale też nie jest na prawach gościa. Jest mu tutaj dobrze. Sophie palnęła, że Drew tu mieszka. To dziwne, ale Jennifer nie poczuła wtedy najmniejszej potrzeby prostowania tej spontanicznej uwagi.

Gdy zeszła na dół, Andrew i Mikę siedzieli przy stole, pochyleni nad laptopem.

- Przez przepaść przeskakuje się myszką. Musisz być bardzo szybki - tłumaczył Andrew - bo jeśli spadniesz, po zrą cię pająki.

Przez twarz chłopca przemknął cień uśmiechu. Dawno nie był taki szczęśliwy. Spojrzenie Andrew w jej stronę uświadomiło jej, że i on już zdążył poznać stan umysłu ośmiolatka. I podobnie jak ona miał nadzieję, że chłopiec otworzy się nieco bardziej.

Zadzwonił telefon. Jennifer podniosła słuchawkę.

- Saskio, do ciebie. Mężczyzna. Nie przedstawił się.

- Do mnie?

- Może z agencji modelek - rzucił Andrew. - Zobaczyli twoje zdjęcie w gazecie i zakochali się w twojej fryzurze.

- Jak chcesz, to ci kiedyś pokażę, jak robi się dredy.

Jennifer wzięła od niej uśpione niemowlę.

- Położę ją spać.

Gdy zeszła na dół, zastała Saskie zapatrzoną w ogień w kominku.

- Saskio, co się stało? - spytała zaniepokojona.

Andrew rzucił jej badawcze spojrzenie, po czym dotknął ramienia Michaela.

- Laptop jest na baterie. Możesz zabrać go na górę i jeszcze chwilę powalczyć z pająkami - zaproponował.

- Już mam go dosyć.

- Nie zapomnij umyć zębów - zawołała za nim Jennifer, dorzucając drew do kominka. Gdy Andrew usadowił się po nownie na kanapie, Elvis leniwie podniósł się z dywanika, wpełzł na nią i natychmiast zapadł w drzemkę, tym razem z głową na jego kolanach.

- On się czasami ślini - ostrzegła go, po czym zwróciła

się do milczącej Saskii. - Kto to był?

- Mój tata.

Jennifer szeroko otworzyła oczy.

- Zobaczył zdjęcie w gazecie - dodała cicho.

- Czy powiedział ci coś przykrego?

Dziewczyna zaprzeczyła.

- Powiedział, że tęskni. Że szuka mnie, od kiedy uciekłam.

- Kiedy to było? - zapytał Andrew.

- Dawno.

- Minał już prawie rok - dodała Jennifer. - Saskia uciekła z domu, kiedy zorientowała się, że jest w ciąży. Znalazłam ją na plaży w środku nocy. Od tej pory jest z nami.

- Nie zawiadomiłaś jej rodziców?

- Zrobiłam to. Zadzwoiłam, jak tylko Saskia dała mi numer telefonu. Rozmawiałam z jej macochą, Donną.

- Donna powiedziała ojcu, że jestem w Auckland, z przyjaciółmi. Tam mnie szukał. Nawet zatrudnił do tego policję.

- Nie układało ci się z macochą? - dziwnie cicho za pytał Andrew.

- Można to tak nazwać. Nie wytrzymała, gdy odkryła, że jestem w ciąży. Nazwała mnie dziwką. Stwierdziła, że ojciec miał szczęście, ponieważ jej dzieci prowadziły się porządnie. Powiedziała, że nigdy mnie nie lubiła i że ojciec powinien natychmiast wyrzucić mnie z domu.

- I to zrobił? - Nie ukrywał, że w nim zawrzało. - Kazał ci się wynosić?

- Nie zdążył. Twierdzi, że nawet nie wiedział, że jestem w ciąży. Że ma wnuczkę. Chyba... - dodała. - Chyba płakał.

- O, Sass. - Jennifer sama była bliska łez. - Trudno mi sobie wyobrazić, że twoja macocha była taka okrutna.

- Ja to sobie wyobrażam.

Obydwie zwróciły zdumione spojrzenie na Andrew.

- Nic o niej nie wiesz - zauważyła Jennifer.

- Ale wiem, co potrafi dziać się w takich rodzinach.

Jak niesprawiedliwie rozdziela się preferencje między dziećmi z różnych związków. Jak ich życie zamienia się w piekło z powodu osamotnienia. Jak czują się winne tego, czego nie zrobiły. Wiem, co to znaczy czuć się niechcianym. Mieć pewność, że cokolwiek się zrobi, to i tak będzie źle. Można wtedy stracić wszelkie poczucie własnej wartości. Saskia przytakiwała z otwartymi ustami.

- Skąd to wiesz? Miałaś macochę?

- Ojczyrna. Miał dwóch synów starszych ode mnie. Moja matka była w nim tak rozkochana, że skupiła się na jego

dzieciach. Bardzo wcześnie odczułem, że nikomu nie jestem potrzebny. Że sam muszę sobie dawać radę. Czuję się bardzo osamotniony.

- A ja po prostu chciałam się utopić. Gdyby nie Jen...

- Miałaś szczęście. Zasłużyłaś na nie. Nic dziwnego, że twój ojciec cię poszukiwał.

Jennifer wpatrywała się w żar na kominku. Jej opinia o Andrew nagle uległa diametralnej zmianie. Na studiach wydawało się jej, że Andrew uważa się za kogoś lepszego od reszty. Zawsze trzymał się na uboczu. Koledzy orzekli, że uznał ich za niegodnych swojego towarzystwa, lecz jemu prawdopodobnie brakowało pewności siebie. Być może bardzo chciał być w grupie, ale zrezygnował z tego ze strachu przed odrzuceniem.

- Donna odeszła od taty. Wróciła do swojego byłego męża. Tata został sam. Chce się ze mną spotkać.

- Co ty na to?

- Jeszcze nie wiem. Chyba też bym tego chciała.

Na razie muszę oswoić się z tą myślą. Chyba już pójde spać.

Edwie Saskia zniknęła za drzwiami, gdy do pokoju wsunął się Michael.

- Pomyślałem, że mógłbym jeszcze raz zagrać w tę grę

- powiedział ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Jennifer i Andrew wymienili spojrzenia.

- Czemu nie - przystała Jennifer. - Ale za piętnaście minut cisza nocna.

- Dobra. - Michael wziął komputer i wyszedł.

- Wiedziałem, że długo nie wytrzyma. - Andrew uśmiechał się szeroko.

- Cieszę się, że nareszcie coś go zainteresowało. Coś, co sprawia mu przyjemność

- Był już całkiem duży, gdy jego mama umarła.

- Podejrzewam, że bardziej przeżył wyjazd ojca. -

Uniosła brwi. - Czego się dowiedziałeś od Saskii i dzieci?

- Niewiele. Że ich matka była twoją starszą siostrą oraz że miała na imię Janet.

Przytaknęła.

- Że długo chorowała na raka, a ich ojciec, nie mogąc pogodzić się z jej śmiercią, wyjechał do Australii.

- To niewiele - stwierdziła. - Zapewne tyle dowiedziała się Saskia od naszych sąsiadów. - Westchnęła. - Philip, mój szwagier, jest fantastycznym człowiekiem. Przyjechał tu dwanaście lat temu, by poprowadzić farmę po śmierci naszego ojca. Tuż po tym, jak Janet wyszła za niego, za

chorowała nasza mama, więc przeprowadzili się tutaj. Cierpiała na cukrzycę, straciła wzrok, ale do końca była strasznie niezależna i uparta. Radzili sobie, dopóki nie urodziły się bliźniaczki. To wtedy zdecydowałam się przyjechać tutaj jako lekarz.

- Byłaś wtedy na stażu w szpitalu w Christchurch? Przytaknęła.

- Razem z Hamishem. Christchurch jest niedaleko. Uznaliśmy więc, że będziemy spotykali się w weekendy. Byliśmy tak zajęci, że byłam przekonana, że niewiele to zmieni.

- Ale zmieniło?

- Okazuje się, że tak. Hamish nie mógł pogodzić się z tym, że rodzina jest dla mnie ważniejsza od niego. Starał się, ale stawał się coraz mniej wyrozumiały. Potem odkryłam, że spotyka się z inną. - Uśmiechnęła się smutno. - To było jedynie przyzwyczajenie. Chociaż przez tyle lat byliśmy zaręczeni, ciągle nie mogliśmy się zdecydować na ten ostateczny krok. Rozstanie było całkiem łatwe. Chyba nawet przyjełam to z ulgą. - Umilkła.

- I tu zostałam. A twoje plany? Chciałaś wyjechać za granicę, zostać chirurgiem.

- Gdy mama zmarła dwa lata później, poczułam, że wolę pracować tutaj. Moi przodkowie należeli do pierwszych osadników na tej ziemi, więc tutaj są moje korzenie. Na dodatek wtedy zachorowała Janet. Na nowotwór piersi. Złośliwy. Byłam jej potrzebna. Oraz Philipowi i dzieciom. - Przegarnęła węgle. - Wyglądało, że dzięki terapii pokonała chorobę. Rok później urodził się Angus. Cięża zamaskowała objawy raka, który w jej trakcie na nowo się uaktywnił. W jeszcze bardziej złośliwej postaci. Dał przerzuty na wątrobę.

- Musiało wam być bardzo ciężko. Zwłaszcza z małym dzieckiem.

- Angus jej nie pamięta. Podejrzewam, że to mnie uważa za swoją mamę. Ponieważ Janet była coraz słabsza, również bliźniaczki przyłgnęły do mnie. Zmagająca się z chorobą przez dwa lata. Najbardziej cierpiał Michael. I Philip. Za-

padł na depresję jeszcze przed jej śmiercią, ale dzielnie się trzymał... To ja mu zasugerowałam, że na jakiś czas powinien stąd wyjechać. - Popatrzyła na Andrew. - Żadne z nas nie podejrzewało, że upłynie tyle czasu, zanim weźmie się w garść. Jest w stałym kontakcie z dziećmi i wcale ich nie porzucił. Wróci, gdy do tego dojrzeje, i znowu będą razem.

Po dłuższej chwili milczenia pierwszy odezwał się Andrew.

- Jen, czy jesteś szczęśliwa?

Kusiło ją, by dać pozytywną odpowiedź. Że kocha dzieci oraz że los zesłał jej Saskie. Ale kiedy ktoś ją o to zapytał? Kogo interesowała jej szczerą odpowiedź? Nawet Hamish nie kwapił się poznać prawdy. Uważał, że jeśli jemu jest dobrze, ona też jest zadowolona.

- Kocham tę pracę - odrzekła w końcu z namysłem. - Kocham ten dom. Mam tu wielu bliskich mi ludzi, więc nigdy nie czuję się...

- Samotna?

- Jakie to głupie... - Potrząsnęła głową. - Zwłaszcza gdy mówię to tobie.

- Dlaczego?

- Bo prawie się nie znamy - zaczęła ostrożnie. - Nie jesteśmy przyjaciółmi, a ja ci opowiadam o czymś, z czego nawet nie zdawałam sobie sprawy. Mam ciekawą pracę, piękny dom, cudowne dzieci... Czy mogę czuć się samotna?

- Dlaczego nie? - zapytał półgłosem. Na samą myśl, że Jennifer mogłaby czuć się samotna, zapragnął wziąć ją w ramiona, by już nigdy nie zaznała tego uczucia. Wiedział doskonale, co czuła. I znał powód. - Nie masz partnera.

- Mam. Briana Wallace'a. Nawet przyszedł obejrzyć cię, gdy byłeś chory. Nie pamiętasz?

- Nie mówię o partnerze zawodowym. Miałem na myśli towarzysza życia. Równoprawny związek. Kogoś, kto kochałby cię, a ty jego. Jen, troszczysz się o wiele osób. Czy masz kogoś, kto zadbałby o cię?

- Masz na myśli mężczyznę? Coś ty! Jestem stara. Kto by chciał taką starą kobietę?

- Ja - odparł błyskawicznie. - Jestem tutaj. Roześmiała się.

- Kiedy tu się zjawiał, zdecydowanie nie byłeś w pełni władz umysłowych, a teraz jesteś za słaby, żeby uciec.

- Wcale się nie spieszę z ucieczką. Podoba mi się tutaj. Znieruchomiała, przypatrując mu się badawczo.

- My też cieszymy się z twojej obecności. - Odwróciła wzrok. - Możesz zostać, jak długo zechcesz.

Patrzył na jej profil podświetlony żarem z kominka i złocisty poblask na jej włosach. Otrzymał uprzejmą odpowiedź.

Przyjazną. Mimo to wyczuwał pewien dystans. Wydawało mu się, że Jennifer się spieszyła. Czy powiedział za dużo? Czy ona zdaje sobie sprawę, co może wyniknąć z jej zaproszenia? Może tu mieszkać, jak długo będzie miał ochotę...

Andrew pragnął, by było to na zawsze.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wywiązał się z obietnicy dopiero dwa dni później. Tymczasem opinia Jennifer o nim zmieniła się nie do poznania. Jak mogła kiedyś postrzegać go jako aroganta? Owszem, starał się być przywódcą, ale łatwość, z jaką mu to przychodziło, wynikała bardziej z chęci doprowadzenia do sukcesu wszystkich zainteresowanych, niż udowodnienia swojej wyższości. Dopiero niedawno miała okazję po raz pierwszy zobaczyć, jak Andrew zachowuje się w bardzo trudnych sytuacjach zawodowych, a kilka minionych dni sprawiło, że stał się bohaterem wszystkich niemal członków jej niezwyklej rodziny. W ciepłe sobotnie popołudnie to on osiodłał kucyka But-ona i wszystkie dzieci po kolei oprowadził błotnistymi ścieżkami po całej posiadłości Jennifer. Twierdził, że i jemu zrobi dobrze takie niezbyt męczące ćwiczenie.

Była mu wdzięczna za to, ponieważ nagle wezwano ją do pacjentki. Susan Begg od paru miesięcy skarżyła się na ataki duszności oraz ogólne zmęczenie. W tę sobotę zemdląca. Zadzwoiła potem do Jennifer z prośbą o pomoc. Umówiły się w szpitalu.

Gdy Jennifer wracała do domu, kucyk już odpoczywał w stajni. Po drodze minęła Saskie, która wraz z młodszymi dziećmi odprowadzała Sama do domu. W salonie Andrew i Michael pochylali się nad komputerem.

- Znowu wojujecie z pajakami?
- Nie - odparł Mike z lekką przyganą w głosie. - Robimy z Drew ane... liże saty...
- Analizę statystyczną - pomógł mu Andrew. - Robimy wykres na podstawie analizy procentowej danych.
- Naprawdę? - Szczerze się zdziwiła. - Czego dotyczą te dane?
- Zanieczyszczenia środowiska - oznajmił chłopiec. - Taki dostałem temat. Teraz rysuję wykres kołowy. Wiem, ile zanieczyszczeń pochodzi z samochodów, pieców węglowych i... - Podniósł wzrok na Andrew. - Jak zmienia się kolor?
- Zaznacz ten fragment, potem na pasku narzędzi znajdź ikonkę „Kolor”, kliknij w nią i wybierz kolor. Twarz chłopca rozpromieniła się, gdy druga część koła zmieniła barwę na zieloną.
- Fajne. Moja praca będzie lepsza nawet od tego, co zrobi Hannah.

- Kto to jest Hannah?
- Dziewczyna z mojej klasy. - Nie ukrywał pogardy.
- Uważa, że jest najmądrzejsza.

Ich spojrzenia spotkały się. Czy Andrew współczuje Mike'owi z powodu rywalizacji z dziewczyną na niwie akademickiej? Może ten błysk w oku świadczy o tym, że uważa ich dawne współzawodnictwo za przejaw skrajnej, dziecinnej niedojrzałości? Jak mogła wtedy podejrzewać, że ten człowiek ma w pogardzie uczucia innych ludzi?

- Jest najmądrzejsza? - zapytał Andrew.
- Chyba tak - mruknął Mike. - Jak my to wydrukujemy? - zaniepokoił się.
- Zapiszcie na dyskietce - rzekła Jennifer, widząc za kłopotanie na twarzy Andrew. - Wydrukuję w szpitalu. - Zsunęła z ramienia ciężką torbę ze sprzętem do EKG. - Zrobić ci kawę?

- Poproszę.

Wyglądał na zmęczonego, lecz był to jego pierwszy dzień, kiedy nie leżał w łóżku. Poza tym okazało się, że nie tylko zabawiał dzieci. W kuchni zastała masę obranych i pokrojonych warzyw oraz mięso w marynacie, smakowicie pachnącej sojowym sosem.

- Znaleźliśmy wok - usłyszała tuż za plecami. - Nauczę Saskie, jak się go używa - dodał z uśmiechem.

Zakrywając miskę z mięsem, niechcący dotknął jej dłoni. By nie pokazać, jakie zrobiło to na niej wrażenie, pochyliła się nad ekspresem do kawy.

- Jak się czujesz? Powinieneś być trochę zmęczony.
- Jestem. Na pewno zasną podczas kolacji z nosem w talerzu. Aha, przeniosłem swoje rzeczy do domku. Twoje łóżko z powrotem należy do ciebie.

Poczuła się speszona. Tym, że on w nim spał? Leżąc tam, trudno będzie o nim nie myśleć. Czy on myślał o niej? Czuła ogarniające ją ciepło, które powoli, podstępnie obejmowało także jej brzuch. Należy zmienić temat.

- Jak rana na nodze? - Podała mu kubek z kawą. - Za dwa dni zdejmujemy szwy.

- Goi się pięknie. To twoja zasługa. Co stwierdziłaś u tej pacjentki, do której cię wezwano?

Nadarza się okazja omówienia z nim tego przypadku. Być może obejdzie się bez zasięgnięcia opinii Briana.

- Obejrzyj jej EKG - zaproponowała.

Po chwili jeden koniec stołu należał do nich, drugi do bardzo zapracowanego Michaela.

- Od kiedy ma te objawy?

- Dłużej niż mi się wydawało. Na początku narzekała na apatię, ale przypisywała to zmęczeniu wynikającemu z urodzenia trojga dzieci rok po roku. Zwróciłam na to uwagę, dopiero kiedy powiedziała mi, że zabrakło jej tchu pod czas rozwieszania prania. Ale wtedy nie usłyszałam żadnych szmerów.
- Podejrzewasz zwężenie aorty? - zapytał, wpatrując się w wykres. - Dawno nie zajmowałem się kardiologią, ale nie mam wątpliwości, że jest to blok lewej odnogi pęczka Hisa.
- Bardzo podejrzane jest to, że jej ojciec zmarł nagle w wieku pięćdziesięciu dwóch lat. Był doświadczonym pilotem, a zginął w wypadku. Jego samolot rozbił się i spłonął, więc autopsja była niemożliwa. Być może przyczyną katastrofy była niedomoga serca. To oraz jej objawy mogłyby sugerować przerostową chorobę mięśnia sercowego. Czyli że Susan może w każdej chwili zasłabnąć i umrzeć. Ma zaledwie dwadzieścia sześć lat i trójkę dzieci.
- Wyślesz ją na konsultację do Christchurch?
- Teraz, na weekend, położyłam ją w szpitalu. Zamierzam na poniedziałek zamówić jej wizytę u kardiologa. Zrobią jej echo i cewnikowanie serca. Nie wiem tylko, czy nie należałoby już teraz podać jej beta bloker. Na wszelki wypadek. Wieczorem zajrzę do podręcznika kardiologii.
- Też bym coś poczytał. Zapomniałem już, jaka kardiologia potrafi być ciekawa - zauważył, sięgając po książkę.
- Chirurg praktycznie nie ma bezpośredniego kontaktu z pacjentem, bo ten zawsze jest uśpiony.

Jennifer wpatrywała się w wykres EKG Susan Begg. Nie był to typowy przypadek. Na pewno nie podręcznikowy. Parę lat temu sprzeczałyby się nad nim całymi godzinami. Na pewno starałby się zakwestionować jej diagnozę, twierdząc, że niesłusznie sugeruje się wypadkiem ojca pacjentki, lub zarzuciłby jej, że postawiła ją na podstawie zbyt małej liczby badań.

Czy jego aktualny spokój jest wynikiem tego, w jaki sposób rozpoczęła tę rozmowę, czy może w przeszłości miała skłonność do przesady? Jeśli tak, to dlaczego? Dalsza wymiana zdań okazała się wręcz niemożliwa, ponieważ do pokoju wpadły bliźniaczki.

- Drew, znalazłyśmy jeża! Malutkiego. Chyba jest chory. Obejrzyj go?
- Sophie zerknęła Mike'owi przez ramię.
- Właśnie zjadł cię pająk. Mogę spróbować?
- Jak skończę.

- Drew, chodź. Saskia szuka dla niego pudełka. - Jessica szarpała go za rękaw.

- Ja też chcę go zobaczyć. - Michael oderwał się od komputera.

Gdy cała czereda wraz z Andrew zniknęła za drzwiami, Jennifer poczuła się nieswojo. Dziewczynki nawet się z nią nie przywitały. Poza tym ona też jest lekarzem i na pewno potrafiłaby zająć się chorym jeżem.

Popatrzyła na porzucony komputer. Koniec analizy statystycznej. Wydała się tajemnica jego zapracowania: ciekawsza okazała się gra. Ale jaki Mike był zadowolony! Czy to zasługa komputera, czy więzi, jaka rodziła się między chłopcem a tym mężczyzną? A te warzywa w kuchni?

Dlaczego sama nie nauczyła Saskii porządnie gotować, tylko zwoziła do spiżarni puszki i mrożonki? Może Andrew chce jej pokazać, że nie nadaje się na gospodynię tego domostwa?

Dawniej właśnie tak zinterpretowałaby jego zachowanie, lecz teraz wiedziała, że nie miała racji. On niczego nie stara się jej dowiedzieć. Zadomowił się w tym domu, bo taką już ma naturę.

Trzeba razem ze wszystkimi cieszyć się z tego, tym bardziej że nie potrwa to długo.

Jeżyk był wielkości piłki golfowej i miał nadal miękkie kolce.

Nie otworzył jeszcze oczu i nie miał siły utrzymać się na maleńkich czarnych łapkach. Mike nazwał go Sonic.

Zamieszkał w pudełku od butów wyścielonym sianem i grubą skarpetą Mike'a.

W tym zamęcie dzieci nie zauważyły, jak smaczna była kolacja, za to Saskia była wyraźnie bardzo dumna z siebie.

- Przepyszne - pochwaliła ją Jennifer.

- Spodobało mi się. Nie miałam pojęcia, że gotowanie może być takie fajne.

Pomimo zmęczenia Andrew oznajmił, że zabiera do siebie pudełko z Sonikiem. Obiecał nastawić budzik i co dwie godziny karmić jeżyka zakraplaczem.

W niedzielę dał się namówić, by kibicować Mike'owi podczas szkolnego meczu rugby. Miał ich tam zawieźć Tom Bartlett, którego syn Lawrence był w tej samej drużynie.

- Nie musisz iść z nami - oświadczył Michael, nie patrząc jej w oczy.

Dotychczas, gdy tylko było to możliwe, zawsze mu towarzyszyła. Zastępowała ojca, który kiedyś gorąco go dopingował. Tego dnia Mike był gotowy już godzinę przed

czasem. Co dziwniejsze, wyczyścił buty. Czy dlatego, że nareszcie będzie z kimś, kto potrafi liczyć punkty oraz docenić groźne sytuacje? Czy może dlatego, że tym razem nie będzie

wyróżniał się tym, że jego ciotka jest jedyną kobietą oglądającą mecz?

- Chętnie zostanę dziś w domu - powiedziała wspa-
niałomyślnie. - Mam trochę sprzątanina.

- Wrócimy nieco później, bo tata Lawrence'a zaprosił
Drew do pubu, a my z Lawrence'em przez ten czas pobawimy
się na plaży.

Wrócili, gdy zapadał zmrok. Właśnie zamiatała werandę.

Oparła się o kij do miotły i zapytała:

- Udany mecz?

- Druzgoczące zwycięstwo. Nie pamiętam, jaki był wy-
nik, ale drużyna Mike'a po prostu rozgromiła przeciwnika.

- Trzydzieści dwa do dwunastu.

Chłopiec w zabłoconych buciorach poczłapał przez werandę do
domu, Andrew natomiast ostrożnie przeszedł na jej zamiecioną
część. Oparł się o poręcz i podziwiał zachód słońca nad
przystanią i miasteczkiem.

- Ładnie, prawda?

- Magiczny zakątek. - Westchnął. - W ogóle nie wie-
działem o jego istnieniu, chociaż byłem w Christchurch.

Zawsze uważałem, że trzeba wyjechać za granicę, żeby
zobaczyć piękne miejsca.

Uśmiechnęła się.

- Cudze chwalicie, swojego nie znacie... Często nie za-
uważamy tego, co mamy pod samym nosem. Pewnie dla
tego, że różne rzeczy nam powszednieją. - Podeszła bliżej.
-. Jak ci się podobał Tom Bartlett?

- Miły gość. W pubie było bardzo przyjemnie. Przed
stawił mnie paru miejscowym. - Zerknął na nią. - Sporo
się o tobie nasłuchiwałem.

- Mam nadzieję, że same dobre rzeczy.

- Wychwalali cię pod niebiosa. Są z ciebie dumni. Od-
niosłem wrażenie, że uważają cię za jedną z nich.

- Bo to prawda. Moja rodzina mieszka tu od samego
początku, a ja, jako lekarz, wiem o nich bardzo dużo. Czasami
to przeszkadza, bo za bardzo się angażuję, a powinnam
być obiektywna.

- Poznałem też gościa, który twierdzi, że ma prawo na-
zywać się twoim dziadkiem.

- To chyba Charlie! - Roześmiała się.

- Nie pamiętam, jak ma na imię. Poznałem ze sto osób.

- Wygląda jak gnom? Niski, bardzo stary, z rozwianymi
siwymi włosami? Wygląda na sto dziesięć lat, a ma zaledwie
dziewięćdziesiąt.

- W ceratowej kurcie i kaloszach. Dziwaczna postać.

- Był rybakiem. Nadal kręci się po przystani. Świetnie się trzyma. Jego przodkowie przybyli tu z Normandii. Twierdzi, że jego matka urodziła się na statku „Comte de Paris”, którym w tysiąc osiemset czterdziestym przyплыnęli pierwsi osadnicy. Nie ma rejestru urodzeń, ale ta da ma musiałaby być bardzo leciwa, gdy go rodziła. To ma ło prawdopodobne, ale nikt nie ma serca się z nim sprzeczać.
- O co chodzi z tym dziadkiem?
- Podobno Charlie był zaręczony z moją babką, zanim odbił mu ją mój dziadek.
- Nie wierzysz w to?

- Nie bardzo. Nie pamiętam jej dobrze, ale wiem, że nie znosiła zapachu ryb.
- Czym zajmował się twój dziadek?
- Odziedziczył farmę po swoim ojcu, który faktycznie był jednym z pierwszych osadników. Ożenił się z Angielką i miał z nią dwanaścioro dzieci, więc wszędzie mam krewnych.
- To znaczy, że w twoich żyłach płynie sporo francuskiej krwi. Czujesz jakieś związki z Francją?
- Akaroa jest bardzo dumna z tej francuskiej przeszłości. Zachowało się tu wiele francuskich nazw ulic, domów, a nawet drzew.
- Zdaje się, że to Charlie stwierdził, że w tej części wyspy wszyscy nadal powinni mówić po francusku. Podobno wasi pradziadkowie zostali oszukani.
- Coś w tym jest. Pewien Francuz przyплыnął tu statkiem wielorybniczym w tysiąc osiemset trzydziestym ósmym roku i orzekł, że od tej zatoki należy rozpocząć kolonizację całej wyspy. Podobno kupił te ziemie od maoryskiego wodza, wrócił do Francji i otrzymał poparcie tamtejszych władz, co doprowadziło do pierwszej wyprawy osadników. Gdy przybili do brzegu, dowiedzieli się, że na mocy układu z Waitangi, zawartego kilka dni wcześniej, niespodziewanie wylądowali w kolonii brytyjskiej. W tej grupie był mój pradziadek. Nie nauczył się angielskiego i pilnował, żeby jego dzieci biegle posługiwały się francuszczyzną. Pamiętam, że dziadek pięknie przeklinał po francusku.
- Taka silna więź z konkretnym miejscem, z którym łączy się odległa historia rodziny, to chyba szczególne uczucie.

- Popatrzył na krajobraz, po czym westchnął. - Moja historia jest bardzo skromna. Matka wyszła ponownie za mąż, kiedy miałem siedem lat. Wcześniej stale zmienialiśmy miejsce

pobytu. W ogóle nie pamiętani ojca. Nigdzie nie zdążyłem zapuścić korzeni. Zawsze byłem obcy i nikt nie kwapił się opowiadać mi o moich przodkach.

- To smutne. - Usłyszała wrzaski dobiegające z wnętrza domu i przypomniała sobie, że nadeszła pora kolacji.

Saskia zapewne już kąpie Yanesę. - Teraz wreszcie wiem, dlaczego Saskia tak cię lubi. Cieszę się, że znalazła kogoś, kto ją rozumie.

- Czy już ci mówiła, że jutro spotyka się z ojcem? Obie całem zając się Angusem i Yanesą, żeby mogła pójść z nim na lunch. Nie chciała pokazywać mu, gdzie mieszka, na wypadek gdyby spotkanie się nie udało.

- Mam nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży.

- Co będzie, jeśli postanowi przenieść się do ojca? Jak sobie bez niej poradzisz?

- Nie wiem. Będę się martwić, jak to się stanie. Dam sobie radę. Kryzysowe sytuacje to moja specjalność.

- Mikę, pora spać - zwróciła się do chłopca, gdy młodsze dzieci leżały już w łóżkach.

- Ale...

- Nie ma mowy. Jazda na górę.

Chłopiec spode łba spoglądał na Andrew.

- Umówiliśmy się. Nie pamiętasz? - Andrew był nie ugięty. - Miałeś najpierw oczyścić buty. Żeby potem, przed spaniem, pograć na komputerze.

- To ja je teraz oczyszczę!

- Za późno.

Jennifer miała ochotę darować chłopcu jeszcze dziesięć minut, ale powstrzymała się, by zobaczyć, jak zareaguje na zupełnie nową sytuację.

Andrew już czekał na niego na schodach.

- Umowa jest umową. Należy się z niej wywiązywać.

W umówionym czasie. Trzeba dotrzymywać słowa.

Chłopiec był w łóżku pięć minut później.

- Twardy jesteś - powiedziała z uznaniem, gdy zszedł do salonu.

- Myślisz, że jest mu przykro?

- Wyglądał bardziej na zrezygnowanego niż obrażonego. - Usiadła przed kominkiem i pogładziła oba psy. - To moja ulubiona część dnia.

- Mam nadzieję, że nie uważasz, że się wtrącam.

W kwestii Michaela.

- Skądże. Pod twoim okiem robi niebywale postępy. -

Rzuciła mu wymowne spojrzenie. - Szkoda tylko, że sam nie stosujesz się do tych zasad.

Nie bardzo wiedział, o co jej chodzi.

- Umowa jest umową, prawda?
- Oczywiście.
- Kiedy wobec tego wywiązesz się z danej mi obietnicy? Ja już to zrobiłam. Opowiedziałam ci, dlaczego nie wyszłam za Hamisha. A ty ciągle nie odpowiadasz na moje pytanie.
- A o co pytałaś? - zmieszał się. - Pamiętaj, że byłem chory. Majaczyłem.
- Miałaś wyjaśnić, dlaczego zrezygnowałeś z medycyny oraz dlaczego jesteś w podróży poślubnej z nieistniejącą małżonką. Umowa jest umową. Więc mów!

Może nie powinna przy tym się upierać? Może ta historia jest zbyt bolesna? Już miała zwolnić go z danej obietnicy, gdy usłyszała westchnienie rezygnacji.

- Nie wiem, od czego zacząć.
- Od chwili, kiedy urwały się wieści o tobie. Odszedłeś wtedy z kliniki Boston Memorial.
- Powinienem był tam zostać. Harowałem jak wół i czułem, że zasługuję na wyższe uposażenie, ale nie było mi tam źle.
- Więc dlaczego odszedłeś?
- Dałem się skusić obietnicą sławy i majątku. Naczelnym chirurgiem Instytutu JJ.Shustera był niejaki William Chadwick. William James Chadwick trzeci. Bogaty, rozchwytywany, fenomenalnie ustawiony. Pochlebiali mi, że zaprosił mnie do swojego zespołu. O czymś takim marzyłem już na studiach.
- Nie tylko ty. Okazało się, że nie wygląda to aż tak różowo?
- Na początku było fantastycznie. Zarabiałem krocie, robiąc to, co najbardziej kochałem. Moim udziałem stało się życie towarzyskie na stopie, jakiej sobie wcześniej nie wyobrażałem. Zaręczyłem się z córką Chadwicka, Cassandrą. Wcześniej przez jakiś czas była modelką. Gdy się poznaliśmy, dobiegała trzydziestki i prawdopodobnie rodzina zaczęła już poważnie nalegać, by się ustatkowała i urodziła Williama Jamesa Chadwicka czwartego.
- Kochałeś ją?
- Nie tak jak należy kochać kogoś, z kimś chce się spędzić całe życie. Ale nie miałem nikogo takiego i obawiałem się, że takiej idealnej kobiety nigdy nie spotkam. Mimo to

nareszcie poczułem, że gdzieś mam swoje miejsce. Ci ludzie mnie chcieli... tak mi się wydawało. Mieliśmy się pobrać po roku narzeczeństwa. Cassie zdecydowała wówczas, że w ramach podróży poślubnej przejedziemy Nową Zelandię

wzdłuż i wszerz camperem. W ten sposób rok temu zarezerwowałem ten camper. - Westchnął. - Chyba dobrze się stało, że w porę to do mnie dotarło.

- Co takiego?

- Że zostałem wykorzystany oraz że im na mnie w ogóle nie zależy.

- Jak się o tym dowiedziałeś?

- Zostaliśmy zaproszeni na uroczysty bankiet wydany przez pewnego senatora. Cassie, William Chadwick i ja.

W trakcie przyjęcia dużo młodsza małżonka gospodarza za słabła. Wraz z nim i Chadwickiem odwieźliśmy ją do szpitala, gdzie okazało się, że jest to perforacja wrzodu dwu nastnicy. Senator uparł się, żeby operował ją Chadwick. Chciałem go od tego odwieść, ponieważ obaj piliśmy, lecz William się uparł i kazał mi asystować. Nie podobało mi się to, ale wypłem mniej niż on oraz świetnie rozumiałem, że od tego zależy moja przyszłość.

- Zagroził ci, że cię zwolni?

- Popelnilem ten błąd, że zaprotestowałem w obecności senatora oraz że zaproponowałem, aby operację przeprowadził inny kolega z tego samego zespołu. Obaj wielcy panowie byli oburzeni moją bezczelnością.

- Domyślam się, że operacja nie poszła najlepiej.

- Kobieta zmarła. Gdy zaczęła krwawić, William wpadł w panikę i nikogo nie chciał do niej dopuścić. Gdy go w końcu brutalnie odepchnąłem, było za późno.

- I całą winą obarczyli ciebie.

- Jakbyś zgadła. William zeznał, że za dużo wypił, więc poprosił mnie, ponieważ twierdziłem, że nie tknąłem alkoholu. Oraz że to ja operowałem.

- Przecież miałeś świadków! Anestezjologa, pielęgniarki...

- To byli ludzie Williama. Doprowadził do tego, że policja pobrała mi krew, żeby dowieść, że skłamałem w sprawie alkoholu. Test wprowadzicie niewiele wykazał, lecz wynik był pozytywny.

- Więc cię zwolnił.

- I podał do sądu. Straciłem wszystko, co miałem, włącznie z dobrą opinią. Nadal czekam na wynik sprawy o po pełnienie błędu w sztuce lekarskiej oraz ewentualne skreślenie z listy praktykujących lekarzy. Straciłem pracę i całą przyszłość. Cassandra oczywiście rozstała się ze mną bardzo szybko i z dużym hałasem.

- Nikt się za tobą nie wstawił?

- Nikt.

Uwierzyła mu. Najbardziej przeraziło ją to, że w nikim nie znalazł oparcia. Poruszona ujęła jego dłoń. Może chciała, by wiedział, że nie wszyscy są tacy okrutni? Może chciała mu przekazać, że go rozumie? Odwzajemnił uścisk. Siedzieli tak bez słowa przez dobrą minutę. Gdy puścił jej rękę, w jego spojrzeniu wyczytała wdzięczność.

- Chyba już się położę. Nie wiedziałem, że dotrzymywanie słowa jest takie wyczerpujące.

- Śpij dobrze. Dziękuję, że mi to opowiedziałeś. Nie było ci łatwo...

- Wyjechałem ze Stanów. Włączyłem się po świecie. Z nikim o tym nie rozmawiałem. Nawet wtedy, gdy ta afera

wybuchła. Nie miałem nikogo, na czyjej opinii by mi zależało. Zarumieniła się. Przyjemnie było usłyszeć, że jej opinia jest dla niego ważna.

- Dziękuję - powtórzyła półgłosem.

- Umowa jest umową - rzekł z powagą.

- A ty dotrzymujesz słowa.

- Zdecydowanie.

Nie przestawali patrzeć sobie w oczy. Jennifer nie pamiętała, kto pierwszy przerwał ten kontakt wzrokowy, ale oboje pojęli przekazywany sygnał.

- Dobrej nocy, Jen.

Odpowiedziała mu uśmiechem. Na pewno szybko nie zaśnie.

Okoliczności coraz mocniej pchały ją ku temu mężczyźnie.

Tak mocno, że zapragnęła bliższego, jeszcze bardziej intymnego kontaktu. Chciała dotykać i być dotykana. Narastała w niej wręcz fizyczna niezaspokojona potrzeba, jakiej przedtem nie znała.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

To tylko kwestia czasu i okoliczności.

Nie mogła się nadziwić, że energia, którą naładowana była atmosfera w szpitalu, uchodzi uwagi całego personelu. Na przykład Wendy, która tego poniedziałkowego popołudnia wprowadziła Andrew do gabinetu zabiegowego, lub Briana Wallace'a, który wszedł, gdy Jennifer zdejmowała mu opatrunek.

- Andrew, wyglądasz o wiele lepiej niż ostatnio - rzekł Brian na powitanie.

- Czuję się wyśmianicie.
Obmacywała brzegi rany, by upewnić się, że nie ma stanu zapalnego.

- Jennifer bardzo się o ciebie martwiła. - Brian pochylił się nad nogą pacjenta. - Solidna rana. I piękne szycie. Szkoda, że mnie przy tym nie było. Lubię zakładać szwy.

- Powinieneś być chirurgiem.

- W pewnym sensie nim byłem. W zamierzchłych czasach, kiedy podjąłem tu pracę, to był prawdziwy wiejski szpital. Mieliśmy tu salę operacyjną. Mój wspólnik zrobił kurs anestezjologii, więc wykonywaliśmy różne mniejsze operacje. Przepukliny, migdałki. Raz musiałem zrobić cesarskie cięcie. Ale nigdy nie usuwałem trzustki. Żałuję, że przy tym nie byłem - powtórzył.

- Całe szczęście, że była tu kiedyś chirurgia - odezwał się Andrew. - Inaczej nie moglibyśmy operować Liama.

- Dbam o ten sprzęt - powiedział z dumą Brian. - Bardziej z pobudek sentymentalnych niż praktycznych, ale cieszę się, że uratował Liamowi życie.
Jennifer zdejmowała ostatni szew.

- Zostawiam was - oznajmił Brian. - Andrew, jak już będziesz wolny, zapraszam cię na kawę. Pokażę ci nasze archiwum, oczywiście jeśli cię to interesuje.
Gdy tylko Brian wyszedł, atmosfera w pokoju uległa radykalnej zmianie. Jennifer skoncentrowała się na zdejmowaniu szwów. Jeszcze tylko przemyje bliznę...

- Jen, słuchasz mnie?

- Oczywiście. - Zaczerwieniła się lekko. - Mówiłeś o Saskii.

- I jej ojcu. - Przyglądał się jej uważnie. - O tym, że Saskia chce na kilka dni do niego pojechać, do Christchurch. Zaprosiła go dzisiaj do domu, żeby poznał wnuczkę. Pokochali się od pierwszego wejrzenia. Saskia już się pakuje.

- Wyjeżdża dzisiaj? - Ta niespodziewana informacja wyprowadziła ją z równowagi. - Kiedy ja załatwię kogoś do dzieci? Gdzie jest Angus? I kto przyprowadzi dzieci ze szkoły? Mam pacjentów. Nie mogę ich odwołać, a nie chcę fatygować Briana. Nie spodziewałam się tego po niej.

- Uspokój się. Wcale nie zamierzała zniknąć bez słowa. Powiedziałem jej, żeby się o nic nie martwiła.

- Jak to? - wybuchnęła. - Dlaczego? Jakim prawem?

- Spokojnie. - Usiadł na leżance. - Saskia nie opuszcza cię na zawsze. Wyjeżdża z krótką wizytą. Ani przez chwilę nie pomyślała, aby zostawić dzieci, dopóki nie powiedziałem jej,

że z przyjemnością ją zastąpię. Umiem tyle samo co ona... Z tym że na pewno nie zrobię sobie fioletowych dredów.

Parsknęła śmiechem.

- Czy jesteś pewien, że chcesz się nimi zająć? Opieka nad czwórką dzieci jest bardzo męcząca.

- O ile dobrze pamiętam, pozwoliłaś mi tu zostać, jak długo zechcę. Chcę pomóc Saskii. Wiem, co to znaczy, na zawsze stracić rodzinę. Gdybyś widziała jej twarz, kiedy patrzyła, jak jej ojciec tuli Yanesę, postąpiłabyś tak samo jak ja. Wręcz kazałabyś jej z nim pojechać.

- Zapewne masz rację. - Westchnęła. - Wie pan co, do kogoż Stephenson?

- Słucham.

- Pan jest bardzo sympatyczny - wyznała. - O to pana nie podejrzewałam.

- Bo ciągle się ze mną kłóciłaś.

- Bo mnie prowokowałaś. - Spodziewała się, że zaprzeczy, lecz on rozbroił ją szerokim uśmiechem.

- Tylko w ten sposób mogłem ściągnąć na siebie twoją uwagę. - Przysunął się do niej. - Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo byłem zazdrosny o Hamisha.

Tym razem napięta atmosfera nie mogła ujść uwagi Wendy, która ułamek sekundy później otworzyła drzwi do gabinetu. Nie całowali się, ale pielęgniarka nie miała najmniejszych wątpliwości, że weszła w niewłaściwym momencie.

Zaczerwieniła się.

- O... przepraszam. Powinnam była zapukać...

Jennifer gwałtownie odwróciła się od niego.

- Karetka już przyjechała?

- Jest w drodze - odparła Wendy. Zerknęła na Andrew, który posłał jej uśmiech niewiniątka. - Mąż Susan wrócił do domu po szczotkę do włosów. Susan boi się tej podróży bo, gdy sama nie prowadzi, cierpi na chorobę lokomocyjną. Można jej coś dać?

- Oczywiście. - Wyjęła z szafki ampułkę i strzykawkę.

- To powinno wystarczyć.

- Miło mi pana znowu widzieć - Wendy zwróciła się do Andrew, który odpowiedział jej łobuzerskim spojrzeniem.

- Przepraszam, że przeszkadzam.

- Mów do mnie po imieniu. Nie przeszkodziłaś w niczym, co mogłoby przez to ucierpieć.

Jennifer poczuła, że drżą jej dłonie. Czas już dojrzał. Teraz nie należy marnować sprzyjającej okoliczności.

Reszta dnia w przychodni upłynęła spokojnie. Wśród pacjentów znalazł się John Bellamy, ojciec Liama. Przyszedł na zdjęcie szwów z dłoni.

- To wielka ulga wiedzieć, że Liam już nie leży na intensywnej opiece. Nie mogłem patrzeć na te wszystkie rurki i przyrządy. Narzekał, że ma trudności z oddychaniem, ale mu przypomniałem, że powinien być wdzięczny za to, że w ogóle oddycha.

- Połamane żebra długo dają o sobie znać. Wcale mu się nie dziwię. Upłynie jeszcze sporo czasu, zanim wyruszy w morze.

- Podejrzewam, że wcale mu się do tego nie spieszy. Zaprzyjaźnił się z paroma pielęgniarzami.

- Liam jest bardzo przystojny.

- Na oddziale ortopedycznym, gdzie teraz leży, pracuje facet pielęgniarz. Liam zaczął się zastanawiać, czy sam by nie chciał wykonywać takiej pracy. Nie upieram się, że powinien zostać rybakiem, ale... - Na jego obliczu malowała się podejrzliwość. - To takie ciotowate zajęcie dla mężczyzny.

- Nieprawda. To dobry zawód. Można dostać pracę na całym świecie. Liam jest bardzo troskliwy. Obserwowałam go, jak opiekował się rodzeństwem po śmierci Peggy. Byłby świetnym pielęgniarzem. Mógłby też pracować u nas.

- Tutaj? Zatrudnilibyście mężczyznę?

- Nie wahałobyśmy się ani przez sekundę. Liam mógłby iść na studia medyczne i zostać lekarzem. - Uśmiechnęła się. - Pewnego dnia będę potrzebowała nowego współnika.

- Nie stać nas na takie kosztowne studia. Ale może to pielęgniarstwo to nie taki głupi pomysł? - zadumał się John Bellamy.

Ostatni zapisany pacjent wyszedł o czwartej. W poczekalni jednak jeszcze ktoś na nią czekał: Saskia i starszy pan, który trzymał na kolanach Yanesę.

- To jest mój tata. Drew powiedział, że wszystko ci wyjaśnił.

- Cieszę się, że mogę pana poznać. Pan ma na imię Ken, prawda? - Podali sobie dłonie.

- Nie wiem, jak mam pani dziękować za to wszystko, co zrobiła pani dla Saskii. Gdybym wiedział o dziecku, na pewno bym nie zostawił jej samej.

- Za to my nie moglibyśmy cieszyć się przez rok jej towarzystwem. Sass, będzie nam ciebie brakowało.

- To tylko parę dni.

Z dumą wpatrywała się w ojca i córeczkę. Jennifer nie miała złudzeń, że ta dobra dziewczyna wróci do nich co najwyżej z krótką wizytą. Miała jednak nadzieję, że jej życie ułoży się pomyślnie. Nie wolno zrywać rodzinnych więzów, przypomniała sobie słowa Andrew.

- Poza tym Andrew gotuje o niebo lepiej niż ja - dodała Saskia. - Piecze teraz kurczaka na kolację.

- Może zjedlibyście ją razem z nami?

- Dziękujemy. Musimy już jechać. Chciałbym być w domu przed zmrokiem.

- Macie wszystko dla Yanessy? Wzięłaś fotelik z samochodu? Masz pieluchy?

- Zrobiłaś dla mnie wystarczająco dużo - powiedziała Saskia. - W mieście pożyczymy fotelik i kupimy wszystko, co będzie jej potrzebne.

Jennifer wkrótce wyjechała ze szpitala. Czowała się dziwnie ze świadomością, że nie zostanie w domu Saskii. Gdy zaparkowała pod stodołę, nie zobaczyła ani psów, ani dzieci. Zaniepokojona rozejrzała się po podwórku. W rogu zagrody kucyka dostrzegła niespokojne stadko kur pod czujnym okiem Zippy'ego. To znaczy, że w pobliżu musi być i Mi-chael. Zaszła za stodołę, gdzie znalazła całą rodzinę. Bliźniaczki bawiły się z Angusem, który kąpał w korycie z wodą swoją plastikową żółtą kacuzkę. Elvis leżał znudzony, wpatrując się w niebo, a Andrew i Michael siedzieli na dachu kurnika. Chłopiec trzymał w ustach gwoździe, a w dłoni młotek.

- Mikę naprawia dach - poinformowała ją Sophie. - Żeby już nie zalewało gniazda Molly.

- Fantastycznie. Jak było w szkole?

- Saskia wyjechała - westchnęła Jessica. - Kto nam przeczyta bajkę na dobranoc?

- Ja - obiecała jej Jennifer.

Andrew udzielał Michaelowi lekcji wbijania gwoździ.

- Tutaj będzie potrzebny jeszcze jeden gont - zawyrokował chłopiec.

- Trzymaj. - Dopiero teraz Andrew spojrzął na dół. - Zaraz kończymy. Zajrzyj do piekarnika. Chyba trzeba od wrócić ziemniaki.

- Zabieram wam Angusa. Pora na kąpiel.

- Idziemy z wami. To jest strasznie nudne - oznajmiła Sophie. - Drew nie pozwolił nam wejść na dach.

- Należy mu się pochwała. Zebrałyście jajka?

- Nie, bo się na nich gapiłyśmy.

- Zróbcie to teraz i chodźcie na podwieczorek.

Wieczór minął niepostrzeżenie. A jednocześnie czas

wlókł się niemiłosiernie. Jennifer nie mogła się doczekać, aż wszystkie dzieci zasną, bo wówczas nadejdzie wyczekiwana przez nią okazja.

Pozmywali naczynia, zrobili porządki, omówili zachowanie dzieci oraz sprawy do załatwienia na następny dzień. Andrew zapytał ją o skład z artykułami żelaznymi, ponieważ potrzebował gwoździ i narzędzi do budowy domku na drzewie. Wspólnie zastanawiali się, jaki może być wynik badań kardiologicznych zleconych Susan Begg oraz jak ułoży się przyszłość Saskii. Potem zapadła cisza. Pierwszy odezwał się Andrew.

- Jestem w tobie zakochany, Jen. Od lat.
 - Byłam przekonana, że mnie nienawidzisz - odparła, unikając jego spojrzenia. - Zawsze ze mną rywalizowałaś. Zawsze starałaś się być lepszy ode mnie.
 - Być może tylko w ten sposób umiałem zwrócić na siebie twoją uwagę. Nie miałem szansy wobec Hamisha Rydera. Wszyscy, nie tylko ty, go uwielbiali.
 - Zawsze miałaś jakąś dziewczynę. Jedną po drugiej.
 - Za to ty miałaś Hamisha. Nie chciałem, żebyś myślała, że nikt mnie nie chce. Było tych dziewczyn tyle, ponieważ żadna nie była taka jak ty. Żadna.
 - Szkoda, że tego nie wiedziałam. - Zawahała się. - Może czułam podobnie, ale wmawiałam sobie, że wcale cię nie interesuję. Myślałam o tobie. Rywalizacja z tobą dodawała mi sił. Po studiach ogromnie mi jej brakowało. Andrew bardzo powoli podniósł się z miejsca. By znaleźć się przy niej, musiał przejść nad Zippym i Elvisem.
 - Kocham cię.
 - Kocham cię. - Słowa więzły jej w gardle. - Myślę, że pokochałam cię dawno temu, ale dopiero teraz to do mnie dotarło.
- Pomógł jej wstać.
- Pragnę cię. Do bólu - szepnął.
- Nie mogła wydusić z siebie ani słowa, ale jej twarz i jej ciało przemówiły za nią. Ten pocałunek był zaledwie obietnicą tego, co ich czeka. Oboje wiedzieli, że od tej pory może być już tylko lepiej.
- Chodźmy na górę. Pora iść do łóżka - zaproponował.

Pierwsza wspólna noc przypieczętowała uczucie silniejsze, niż można to sobie wyobrazić. Kolejne tygodnie pokazały, że potrafią żyć razem jak mało która para. Byli dla siebie stworzeni. Pośród całego zamieszania, jakie otaczało Jennifer

w domu oraz w pracy, nagle znalazła schronienie, w którym mogła się śmiać, czuć bezpiecznie i czerpać rozkosz z fizycznego spełnienia.

Każdy dzień przynosił niespodzianki, które coraz bardziej ich zbliżały, zacieśniając łączącą ich więź. Pewnego dnia musiała dłużej zostać w szpitalu. Gdy późnym wieczorem wróciła do domu, dzieci już spały, w salonie paliły się nastrojowe świece, a przed kominkiem czekała na nią gorąca kolacja i ramiona Andrew.

Zniknęło też napięcie, jakie towarzyszyło jej z powodu obowiązków związanych z opieką nad siostrzeńcami. Pomoc Saskii była wręcz nieoceniona, lecz ona sama była jeszcze dzieckiem. Dopiero teraz Jennifer zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo sprawy rodzinne ciążyły na jej życiu zawodowym. Teraz absolutne zaufanie do Andrew pozwalało jej zrelaksować się, przez co więcej serca i uwagi mogła okazywać pacjentom.

Parę dni wstecz Andrew zostawił dzieci pod okiem Michaela, wyjaśniając im, że musi coś ważnego pokazać Jennifer. Natychmiast pomyślała, że stało się coś niedobrego, lecz niczego nie chciał jej powiedzieć. Wziął ją tylko za rękę i poprowadził ścieżką wzdłuż strumienia.

Co się tam stało? Dlaczego Andrew nie chce, żeby dzieci to zobaczyły? Czy może Button zranił się o ciągle nie naprawione ogrodzenie? Czy woda podmyła któreś z jej ulubionych starych drzew? Czy może kury zachorowały na nieuleczalną chorobę? Była tak pogrążona w domysłach, że gdy przystanęli, zapytała:

- O co chodzi? Co mam zobaczyć?
- Rozejrzyj się - szepnął.

Zorientowała się, że stoją na polance, na której jej babka posadziła kiedyś fiołki. Przez lata te drobne roślinki utworzyły istny dywan. Co roku wraz z siostrą i rodzicami z utęsknieniem wypatrywała pory ich kwitnienia. Jak mogła o nich zapomnieć? Niepowtarzalny prezent! Tak jak i pocałunek tego mężczyzny.

Ich wspólne szczęście udzielało się innym. Michael otrzymał nagrodę za pracę na temat zanieczyszczenia środowiska. Bliźniaczki upiekły ciasto czekoladowe. Reszta rodziny orzekła, że wyśmienite, i tylko dorośli wiedzieli, że kradzież całej reszty ciasta uszła Zippy'emu i Ehdowi na sucho. Gdy zadzwoniła Saskia, by ich zawiadomić, że postanowiła zostać u ojca, czego się spodziewali, przyjęli tę wiadomość niemal z ulgą. Jako jedyni dorośli będą teraz mieli noce wyłącznie dla siebie.

Niespodziewanie, w weekend, zaanonsował swój przyjazd Philip, ojciec czwórki dzieci.

- Zdaje się, że jest o ciebie zazdrosny - zauważyła Jennifer z uśmiechem. - Pożalił mi się, że wszystkie dzieci opowiadały mu wyłącznie o tajemniczym „Drew”. Nawet nie bardzo się ucieszyły, że przyjedzie do nich w przyszłym miesiącu. Wypytywał mnie o twoje zalety.

- Co mu powiedziałaś?

- Że dopiero dzięki jego dzieciom je dostrzegłam, że wcześniej zmarnowałam wiele lat oraz że teraz nadrabiam zaległości.

- Chodź no tu do mnie - mruknął. - Ja też mam pewne zaległości.

W niedzielę Andrew wybrał się z Michaeliem na mecz rugby. Gdy Andrew wrócił z posiedzenia w pubie, spostrzegła na jego twarzy chytry uśmieszek.

- Oto masz przed sobą tymczasowego trenera drużyny krasnali - oznajmił. - Czy sądzisz, że znajdziemy Angusowi jakieś stosowne obuwie?

- Myślę, że kalosze będą w sam raz. Kto cię w to wrobił?

- Robert Manson, strażak, którego poznałem, kiedy Liam miał wypadek. Razem z ojcem Liama. I Tom Bartlett. Tom obiecał mi, że jak pogoda się poprawi, przyjedzie do nas i pokaże mi, jak używa się tej maszynki do naciągania ogrodzenia. Mikę i ja postanowiliśmy je w końcu naprawić. Żeby uniemożliwić Buttonowi ucieczkę.

- Button jest najbardziej leniwym kucykiem pod słońcem. Sam nigdzie się nie ruszy. Podoba mu się u nas.

- Mnie też.

Nawet językowi Sonikowi wyraźnie służyła radosna atmosfera panująca w domu Jennifer. Otworzył już ślepkę i był bardzo ożywiony, gdy wieczorami wypuszczano go z pudełka. Gdy nieco podrośnie, trzeba będzie zwrócić mu wolność.

Angus dzielnie rywalizował z EMsem o rolę wiernego cienia Andrew. Jeśli Michael był o to zazdrosny, starannie to ukrywał. Któregoś dnia Andrew i Michael rozpoczęli budowę domku na drzewie. Zajęło im to tydzień. W wolnych chwilach, gdy obaj krzatali się pośród desek i belek, Jennifer

z przyjemnością przyglądała się smukłej sylwetce Andrew w wytartych dżinsach, szerokiej klatce piersiowej i mocnym ramionom pod spłóviałym podkoszulkiem.

- Chyba już wróciłeś do formy - zauważyła pewnego razu, odwracając twarz tak, by dzieci nie zauważyły, że się zaczerwieniła. - Wyglądasz całkiem apetycznie.

Jak gdyby nigdy nic, niosąc kolejną belkę, musnął wargami jej ucho.

- A ty wyglądasz tak apetycznie, że mógłbym cię schru-

pać na miejscu - szepnął. - Nie wiem jak wy, ale ja jestem piekielnie głodny - powiedział już głośno.

Dzieci natychmiast podchwyciły ten wątek. Ona jednak nie myślała jeszcze o kolacji: zastanawiała się nad źródłem tego przyjemnego dreszczyku. Zmysłowa obietnica, jaka zalsniła w jego spojrzeniu, sprawiła jej niewysłowioną przyjemność.

- Też bym coś zjadła - rzuciła. Pochyliła się, by wyjąć Angusa z kałuży, w której taplał się z plastikową kaczuszką. - Pójdę zrobić coś do jedzenia.

- Zawołaj mnie, jeśli potrzebny ci będzie pomocnik.

- Dam sobie radę. Twoja pomoc przyda mi się później.

- Nie wątpię. I na to liczę.

Andrew zazwyczaj wpadał do szpitala przed odebraniem dzieci ze szkoły. Jego zainteresowanie historią placówki mobilizowało Briana do odkrywania kolejnych dokumentów i zdjęć. Zaczaj nawet rozważać możliwość napisania książki o szpitalu w Akaroa - kiedy będzie miał wolny czas.

Jennifer natomiast chętnie korzystała z fachowych porad Andrew. Jego specjalizacją była wprawdzie chirurgia, ale okazało się, że świetnie pamięta wszystko, czego razem uczyli się na studiach.

Wkrótce został okrzyknięty bohaterem. Przyjechał po dzieci do szkoły i wraz z innymi rodzicami czekał na nie przed budynkiem. Wśród oczekujących matek była też Su-san Begg, która już zdążyła wszystkim opowiedzieć o swoim pobycie w szpitalu. Badania potwierdziły podejrzenia Jennifer, że jest to kardiomiopatia przerostowa. Pacjentka sceptycznie podeszła do propozycji wszczęcia jej stymulatora, więc na razie brała zestaw specjalistycznych leków. O wszystkim tym Andrew wiedział od Jennifer.

- Stymulator jest rozwiązaniem inwazyjnym - mówiła.

- Jej kardiolog wybrał na razie amiodaron i regularne badanie metodą Holtera. Podejrzewam jednak, że nie obejdzie się bez stymulatora.

- Jeśli Susan dożyje - zauważył.

Nie wiadomo, jak sprawy by się potoczyły, gdyby nie to, że kobieta zaśląbła, stojąc tuż obok Andrew, który pochwycił ją w ostatniej chwili i ułożył na ziemi.

- O Boże! Atak serca? - rozległ się tłumiony szept jednej z najbliższej stojących matek.

- Susan, słyszysz mnie? - zapytał Andrew, ugniatając jej splot słoneczny. - Niech ktoś zadzwoni po karetkę -

zwrócił się do zebranych. - Wezwijcie też doktor Tremaine.

Susan nie oddychała. Tętno też było niewyczuwalne. W tej sytuacji Andrew, otoczony sporą grupką gapiów, zdecydował się na masaż serca.

- Czy ktoś wie, jak się robi sztuczne oddychanie?
- Byłam na kursie pierwszej pomocy. Spróbuję. -
odezwała się Jill.

- Jeden oddech na pięć uciśnieć.

Kobieta przyklękła obok leżącej.

- Raz, dwa, trzy, cztery, pięć. Teraz ty. Świetnie - pochwalił ją. - Czułem twój wydech pod palcami. Trzy, cztery, pięć. Wydech.

Kilka minut później przyjechała Jennifer z Brianem.

Wyskakując z auta z podręcznym zestawem do reanimacji, rozwijała elektrody defibrylatora. Tuż za nią wysiadł Brian z przenośną butlą z tlenem i maską.

- Jill, wejdź do szkoły i poproś, żeby na razie nie wypuszczano dzieci - powiedział Andrew.

Zajechała karetka, z której wyskoczył Mickey.

- To jest migotanie komór - stwierdziła Jennifer. - Mickey, zmień go. - Wskazała na wyraźnie zmęczonego Andrew.

Całkiem zapomniał, jak wyczerpujący jest masaż serca i jak twarde może być asfalt pod kolanami. Patrzył, jak Jennifer przykładła defibrylator do piersi Susan.

- Podłączę kroplówkę - rzekł Andrew.

- Uwaga, włączam. Odsuńcie się - zaordynowała Jennifer.

Wstrząs szarpnął ciałem nieprzytomnej kobiety, ale nie pobudził jej serca do pracy. Andrew wbił igłę kroplówki w jej żyłę. Jeśli defibrylator nie poskutkuje, trzeba będzie tą drogą podać leki.

- Uwaga, jeszcze raz. - Jennifer nie dawała za wygraną.
- Odsuńcie się.

Również drugi wstrząs nie przyniósł rezultatu.

- Do trzech razy sztuka - oświadczyła opanowanym tonem Jennifer.

Tym razem serce Susan zareagowało, a chwile później dziewczyna zaczęła odzyskiwać przytomność. Chciała usiąść.

- Leż spokojnie - rozkazała Jennifer.

- Dlaczego? - Susan wpatrywała się szeroko otwartymi oczami w pochylonych nad nią ludzi. - Co się stało?

Gdy ze szkoły zaczęły wysypywać się dzieci, nad ich głowami zawisł helikopter.

- Patrzcie, będzie lądował na naszym boisku!

- Odsuńcie się! - zawołała nauczycielka.

- Dlaczego on tu ląduje? - dopytywała się Susan.

- Po ciebie. Nie martw się, wszystko będzie dobrze -

uspokajała ją Jennifer. - Twoje serce zrobiło właśnie to, czego najbardziej się obawiałaś. Całe szczęście, że stałaś obok lekarza. Teraz polecisz prosto do szpitala. - Popatrzyła na wydruk z podręcznego EKG. - Wiemy już, co się stało. Nie unikniesz stymulatora.

- Czy to znaczy, że o mało nie umarłam? Wolałabym, żeby to się nie powtórzyło.

Wszyscy, dorośli i dzieci, machali rękami za odlatującym śmigłowcem, tylko Brian Wallace wrócił do samochodu Jennifer.

Andrew, trzymając za rączkę małego Angusa, przystanął przy aucie.

- Brian, marnie wyglądasz.

- Nic mi nie jest. Wracajmy do roboty.

- Nie wyglądasz dobrze - upierał się Andrew.

- Drew, daj mu spokój - rzekła Jennifer. - Zajmę się nim. - Zamknęła drzwi i ruszyła w stronę szpitala.

Im szybciej Brian tam się znajdzie, tym lepiej. Na pewno

mu nie posłużył stres związany z wypadkiem Susan i zupełnie jest mu niepotrzebne zainteresowanie ze strony Andrew i całego tłumu gapiów. Nie zdziwiła się, gdy godzinę później Andrew stawił się w szpitalu.

- Dzieci są u Sama i Jill - uspokoił ją. - Chcę wiecieć, co się stało? Jak Brian się czuje?

- Pojechał odpocząć w domu. Dzięki Bogu, tutaj wszystko jest w normie. Susan już jest na oddziale kardiologii cznym. Jutro założą jej stymulator.

- Co dolega Brianowi? - zapytał Andrew. Zamknął za sobą drzwi.

- Choroba wieńcowa. Dwa lata temu miał angioplastykę. Był niedawno u kardiologa. Czeka go ponowna angioplastyka lub bypass.

- To znaczy, że nie nadaje się do akcji w razie nagłych przypadków.

- Wie o tym. Na szczęście nie zdarzają się nam zbyt często.

- W ciągu trzech tygodni mieliście trzy takie przypadki: Liam, Alison i Susan. Taki stres na pewno nie zrobił mu dobrze. To nie jest miejsce dla niego.

- Powiesz mu to? Musisz zrozumieć, że opieka zdrowotna nad taką małą społecznością staje się sposobem na życie. Zwłaszcza dla kogoś, kto jest w to zaangażowany od kilkadziesiąt lat. Mało jest takich lekarzy, ale Brian do nich należy. Namówił mnie, żebym tu została, i wcale tego nie żałuję. Jest mi bardzo potrzebny, bo przychodzi

i szpital to za dużo dla jednej osoby.

- Weźcie jeszcze jednego współnika. Trzeciego lekarza.
- Na tym w końcu stanie, ale taka propozycja musi wyjść od niego. On sobie zdaje z tego sprawę, ale najpierw musi pogodzić się z tą myślą. Nie chcę go poganiać.
- Zanim to nastąpi, będziesz miała nawał roboty oraz bardzo przykrą świadomość, że w pewnej chwili możesz te mu wszystkiemu nie podolać.
- Poradzę sobie.
- Mogę ci pomóc.
- Nie masz pozwolenia ani dyplomu lekarza pierwszego kontaktu.
- To się da załatwić.
- Jeśli w Stanach odebrano ci pozwolenie, tutaj też go nie dostaniesz.
- Może go nie straciłem. Od pół roku z nikim się tam nie kontaktowałem. Pora, abym się dowiedział, co mam dalej ze sobą zrobić. Chcę znowu leczyć. Miałaś rację, mówiąc, że to nie jest zawód, z którego można łatwo zrezygnować.
- Chcesz tu pracować? Jako wiejski lekarz?
- Dlaczego nie?
- Jesteś chirurgiem.
- Ukończyłem takie same studia jak ty. Wystarczy, że zaliczę parę kursów doszkalających.
- Żeby tu pracować pod okiem Briana, uczęszczałam na seminaria w Christchurch, a egzamin składałam w Wellington. Brian jednak nigdy nie wspomniał o trzecim lekarzu.
- Może dzięki temu łatwiej byłoby mu stopniowo się wycofać. Patrzyłby mi na ręce, a ja wykonywałbym całą robotę. Miałby wtedy czas na spisywanie historii szpitala.

- Nie rozumiem, co ci się tutaj podoba. Jeśli będziesz miał prawo wykonywania zawodu chirurga w Nowej Zelandii, mógłbyś znaleźć znacznie bardziej ambitną pracę w Christchurch.
- A jeśli nie chcę być chirurgiem? Już nim byłem. I wiem, na czym to polega. Może nie chcę być tak daleko od ciebie?
- Zrezygnowałbyś z chirurgii, żeby być ze mną?
- Nie do końca. Można by reaktywować waszą salę operacyjną i tutaj, na miejscu wykonywać różne zabiegi. Wy starczyłoby, żebyś podszkoliła się w anestezjologii. Mogli byśmy zostać partnerami.
- Zupełnie nie wyobrażam sobie ciebie w roli wiejskiego lekarza.

- Pobyt tutaj uświadomił mi, że medycyna daje znacznie więcej, niż myślałem. Chciałbym być częścią takiej społeczności. Czuć, że jestem jej członkiem. Co więcej, chciałbym też być członkiem rodziny. Naszej rodziny. Chcę, żebyś została moją żoną i chcę mieć z tobą dzieci. Moim pragnieniem jest, abyśmy je kochali tak bardzo, jak kochamy siebie nawzajem.
- Kocham cię, Drew. - Poglądziła go po policzku.
- Zniesiesz jeszcze większą chmurę dzieci? Nie od zaraz, oczywiście - zastrzegł się pospiesznie. - Najpierw weźmiemy ślub.
- Zniosę - szepnęła między pocałunkami. - Z największą przyjemnością.
- Wyjdiesz za mnie?
- Tak. - Łzy stanęły jej w oczach.
- Nie wyglądasz na zachwyconą.

- Jestem bardzo szczęśliwa - zapewniła go. - Wyobrażasz sobie, jak bliźniaczki będą przejęte rolą drухen?
- Mikę będzie naszym drużbą, Angus będzie niósł obrączki...
- El vis i Zippy z wiązankami w pyskach! Ale cyrk! - Zaniosła się śmiechem.
- Już to widzę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

To było zbyt piękne, by mogło się ziścić.

Jennifer przez trzy dni chodziła z głową w obłokach, wyobrażając sobie przyszłość, jakiej nie była w stanie nawet sobie wymarzyć. Całe otoczenie wyczuwało, że dzieje się coś niezwykłego. Dorośli wymieniali porozumiewawcze spojrzenia, a dzieci, które już od dawna akceptowały Andrew, nie miały nic przeciwko temu, by ich opiekunowie chodzili z błogimi uśmiechami na twarzach.

Andrew odszukał swój notes i pocztą elektroniczną skontaktował się ze swoim prawnikiem oraz kolegami po fachu w Stanach.

Jedyny problem polegał na tym, że poczta elektroniczna nie gwarantuje dyskrecji. Fala odpowiedzi na jego list nadeszła akurat wtedy, gdy przy komputerze siedział Brian Wallace, co bardzo go zaskoczyło. Następnego dnia zaprosił Andrew do

biura. Jennifer, która właśnie szła korytarzem, spojrzawszy na Briana, natychmiast ruszyła za nimi.

- Andrew, naprawdę nie chciałem... - tłumaczył się Brian. - Nie mogłem pojąć, dlaczego zwraca się do nas amerykańska kancelaria prawna. Przeraziłem się, że zaskarżył nas jakiś amerykański turysta, którym zajmowaliśmy się rok temu. Dopiero w połowie listu zorientowałem się, o co chodzi.

Andrew przebiegał wzrokiem wydruk.

- Nic o tym nie wiedziałem - zmartwił się Brian. - Do brze, że trafiło na mnie. Zazwyczaj pocztą zajmuje się nasza sekretarka Judith. Zapewniam cię, że nikt się o tym nie dowie. Zrobiłem dla ciebie wydruk, a list skasowałem. Jennifer zbladła. Czy to jest oficjalne zawiadomienie o wyroku w sprawie o błąd lekarski? O cofnięciu licencji? Ostateczna decyzja, że Andrew Stephenson nie ma prawa wykonywać tego zawodu?

- Drew, co napisali?

Bez słowa podał jej kartkę. Czytała tak szybko, że przeraziła się, że źle zinterpretowała wymowę tej wiadomości. Wróciła do jej początku.

- To jest dobra wiadomość - zdumiała się. - Oczyszczili cię ze wszystkich zarzutów.

- I wytoczyli sprawę Williamowi Chadwickowi. Dłużej nie dało się ukrywać jego uzależnienia od alkoholu i narkotyków. Dobrze, że w ten sposób zespół zapobiegł ewentualnej kolejnej tragedii.

- Oczyszczili cię ze wszystkich zarzutów! - powtórzyła.

- Lepiej późno niż wcale - rzucił. - To długa historia - zwrócił się do Briana - ale powinieneś ją poznać. Masz czas na kawę?

- Oczywiście.

- To znaczy, że możesz się zarejestrować w Nowej Zelandii - zauważyła rozradowana Jennifer. - Możesz robić, co chcesz.

Andrew nadal nie mógł się otrząsnąć z wrażenia.

- Na to wygląda. Przydałby się szampan.

Brian wodził wzrokiem od Jennifer do Andrew.

- Mamy w tej okolicy sporo wytwornych restauracji. Na pewno jeszcze w żadnej z nich nie byłeś.

- Można tam przyjść z dziećmi? I z jednym, no, dwoma pieskami?

Brian rozpromienił się.

- Możemy się nimi zająć. Patricia zawraca mi głowę, że

dawno ich nie widziała. Jedźcie tam i spokojnie się bawcie.
Andrew mrugnął do Jennifer.

- Podoba mi się taki plan. Stokrotne dzięki, Brian.
- Nie zapominaj, że obiecałeś mi kawę. Oraz wyjaśnienia. Chodźmy do kuchni, do naszej niezastąpionej Ruby.

Następnego dnia poczta elektroniczna przyniosła już bardziej osobiste listy od kolegów Andrew. Gdzie się ukrywa? Cała prywatna klinika w Bostonie bezskutecznie poszukuje go od dwóch miesięcy. Trudno o lepszą wiadomość! Wystąpili w jego imieniu do sądu o odszkodowanie, dzięki czemu wkrótce zostanie milionerem. Niech natychmiast wraca i zostanie ich szefem!

Jennifer czytała tę korespondencję z mieszanymi uczuciami.

- Drew, chcesz wracać?
- Muszę tam pojechać, choćby na krótko, żeby to wszystko do końca pozatwierać. Na pewno zajmie mi to kilka tygodni. Jen, jedź ze mną - zachęcał. - Stany to też dobre miejsce na podróż poślubną.

Następnego dnia Andrew przyszedł do szpitala dużo wcześniej, by w Internecie poszukać rozkładu lotów, cen biletów oraz przeczytać nową pocztę.

- Fantastyczne! - powitał ją, wymachując wydrukiem, gdy weszła do biura wraz z małym Angusem. - Programy badawcze kliniki, nowe i te, które za chwile podejmą, są wyjątkowo interesujące. Kilka z nich nawiązuje do tego, co zainicjowałem, zanim stamtąd odszedłem. Posłuchaj... Nie miała na to czasu.

- Zostawiam ci Angusa, bo Ruby przegoniła go z kuchni, a mam ciężarną do zbadania i za kwadrans dyżur pediatryczny w przychodni.

Nie krył zawodu.

- Nie obchodzi cię to?
- Oczywiście, że mnie obchodzi, ale mam co innego na głowie. Melissa jest w ósmym miesiącu i nagle podskoczyło jej ciśnienie. Programy badawcze na drugim końcu świata muszą poczekać. Opowiesz mi o nich później.

Tak też uczynił. Mówił jeszcze wtedy, gdy kładli się spać.

- Za kilka tygodni część wyników moich badań zostanie przedstawiona na konferencji. Moich wyników. Poprosili, żebym przygotował prezentację. To ważna konferencja.

W Miami.

- Pojedziesz?
- Moglibyśmy pojechać razem. Spodoba ci się. To piękne miejsce. Poznasz ciekawych ludzi.
- W ramach podróży poślubnej? - zapytała kwaśnym

tonem.

Obserwowała jego narastający entuzjazm, od kiedy dotarł do niego pierwszy e-mail. Czy on nie zdaje sobie sprawy z tego, że konfrontacja jest nieunikniona? Starła się o tym nie myśleć. Udawała sama przed sobą, że to, co proponuje mu tamten odległy świat, nie odbierze go jej. Mówi, że za-

bierze ją ze sobą. Czy on sobie nie zdaje sprawy, że ona może zostawić szpital co najwyżej na kilka dni?

Wykrojenie czasu na podróż poślubną będzie nastęcało sporo kłopotów. Pierwsza taka podróż przywiodła go do Akaroa, a on w krótkim czasie uznał, że zostanie tu na stałe. Teraz robi plany drugiej takiej eskapady.

Spojrzał na nią skruszony.

- Przepraszam. Wędrówki po kancelariach prawnych i udział w konferencji to rzeczywiście nie najlepszy program podróży poślubnej. Ale aż mi w głowie huczy od tych propozycji. Czuję się, jakby mnie wypuszczono z więzienia.

- Przytulił ją. - To w niczym nie zmienia tego, co do ciebie czuję, i nie pokrzyżuje naszych planów.

Niestety, los chciał inaczej. Andrew gorąco i otwarcie namawiał Jennifer, aby mu towarzyszyła w Stanach. W rezultacie Michael znowu stracił humor.

- Dlaczego Drew ciągle mówi o Ameryce? Myślałem, że mu się u nas podoba. I że nas lubi.

- To prawda - odrzekła, starając się ukryć rozczarowanie.

- Oczywiście, że nas lubi. W ten weekend też będziesz spał w domku na drzewie?

- Nie - odparł chłopiec wojowniczym tonem. - Domek jest głupi.

Bliźniaczki jeszcze bardziej zaciekle walczyły, by ściągnąć na siebie uwagę Andrew, a mały Angus dostał niemal histerii, gdy odkrył, że Zippy pogryzł jego ukochaną plastikową kaczuszkę. Następnego dnia było jeszcze gorzej, ponieważ w porze popołudniowego karmienia bliźniaczki znalazły języka nieżywego.

- To przez Mike'a - oznajmiła Jessica. - Bo nie dał mu śniadania.

- Nieprawda. Dałem, ale nie chciał jeść.

- Pewnie był chory - zauważyła smutnym tonem Jennifer. - Szkoda.

- Trzeba było dać mu jakieś lekarstwo - zarzuciła jej Sophie, bliska płaczu.

- Gdybym mogła coś poradzić, na pewno bym to zrobiła - tłumaczyła się Jennifer. Zamknęła pudełko. - Trzeba mu wyprawić pogrzeb.

- Nie! - ryknęły bliźniaczki.
Michael kopnął na dywanie wyimaginowanego wroga.
- Mnie to nie rusza - oznajmił. - Jeżyk był głupi.
- Wcale nie. - Teraz Sophie zamierzała kopnąć brata.
- Idziemy. - Jennifer wstała z pudełkiem w ręce. -
Wykopujemy dołek. Zróbcie mu jakiś bukietek.

Jessica zalała się łzami.

- Możemy zerwać parę żonkili?
- Oczywiście. - Zerknęła na Mike'a. - Pomożesz?
- Nie.

Skończyło się na tym, że Jennifer sama pochowała Sonika, ponieważ w poszukiwaniu odpowiednich kwiatów dziewczynki wywędrowały aż na sam koniec ogrodu.

Gdy wróciła do domu, Michael skrył się w swoim pokoju, a Angus towarzyszył Andrew w kuchni. Zabawne, że gdy dzieci znalazły zwierzątko, jego zbadanie powierzyły Andrew, ale gdy jeżyk odszedł w jeżowe zaświaty, wina za niepodanie mu uzdrawiającego remedium spadła na nią.

Podczas kolacji Andrew starał się, jak potrafił, okazywać dziewczynkom współczucie z powodu zejścia Sonika, lecz Jennifer wyczuła, że myślami jest gdzie indziej. Nawet nie zauważył, że Michael znowu zamknął się w sobie. Atmosfera zagrożenia wyczuwalna w całym domu miała jedno źródło. Wieczorem napięcie osiągnęło punkt zapalny.

Andrew zarezerwował bilety lotnicze do Bostonu. W jedną stronę. Wylot za trzy dni. Powiedział jej o tym, gdy dzieci poszły już spać.

- To były jedyne wolne miejsca w ciągu najbliższych dwóch tygodni, a w przyszłym tygodniu zbiera się sąd w mojej sprawie. Powinienem tam być.
- Kiedy chcesz wracać?
- Nie wiem. Zobaczymy, jak się tam rozejrzemy. Myślę, że Boston ci się spodoba.
- Nie w tym rzecz, czy mi się Boston spodoba. Andrew, nie mogę tak, ot, stąd wyjechać. Nawet na kilka dni. Kto zaopiekuje się dziećmi?
- Możesz poprosić Saskie.
- Ona ma siedemnaście lat! Nie mogę zostawić jej zupełnie samej. Nie poradzi sobie.
- Całe miasteczko chętnie się tego podejmie. Wystarczy ich tylko o to poprosić.
- To jest moja rodzina - przypomniała mu.
- A ich ojciec? Pisał, że zamierza przyjechać. Niech przyjedzie wcześniej.
- Nie mogę tego zrobić. Poza tym ja pracuję. W pełnym wymiarze.

- Masz współnika. Brianowi nic się nie stanie, jeśli przez parę dni będzie sam.

- Wiesz dobrze, że go o to nie poproszę.

- Wobec tego wystąp o zastępstwo. Miałś przecież w planach zatrudnienie trzeciego lekarza.

- Ty miałś nim być. Zapomniałeś?

- Nie. - Andrew wyraźnie tracił cierpliwość. Wziął głęboki wdech. - Jen, sprawy przybrały nowy obrót. Głęboko to przemyślałem.

- I doszedłeś do wniosku, że może wolałbyś wrócić do dawnej pracy - powiedziała wbrew sobie. - Takiej, która łączy się ze sporą forszą i prestiżem.

- Wcale nie. Nie rozumiesz, co nam zaproponowano? Nam obojgu, nie tylko mnie.

- Nie osiądę w Bostonie. Nie mogę.

- A ja nie mogę zaszyć się tutaj. Przynajmniej na razie. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach; strach pomieszany z tym, co nieuniknione. To musiało nadejść.

- Chcesz, żebym odesłała dzieci do ojca i poleciała z tobą do Bostonu.

- Nie zrozum mnie źle - zaczął powoli. - Wiem, jak je kochasz. Ja też je pokochałem, ale to nie są nasze dzieci. Powinny być z ojcem.

- I będą. Kiedy on do tego dojrzeje.

- Jesteś gotowa poświęcić siebie i swoje marzenia dla innych. Pomyśl o mnie. O sobie. Czy nie możesz robić tego, co chcesz?

- Robię to, co chcę.

- Myślałem, że chcesz być ze mną. Do końca życia.

- Chcę. - Czuła, że zaraz się rozpłacze. - Nie wierzę w to. Hamish też tak mówił.

- Może miał rację. - Andrew zniecierpliwiał się. - Raz już poświęciłaś swoje ambicje dla dobra rodziny. Nie rób

tego znowu. - Jego ton złagodniał. - Jen, jedź ze mną. Ty też możesz zrobić specjalizację z chirurgii. Poznasz emocje związane z pracą w wielkim amerykańskim szpitalu.

Codziennie dramatyczne zmagania ze śmiercią. Potrząsnęła głową.

- Wyzbyłam się tych ambicji. Praca tutaj pokazała mi, jak są puste. Sam powiedziałeś, że życie znanego chirurga wcale nie wygląda tak różowo, jak się wszystkim wydaje. Oraz że nie tego szukałeś w życiu.

Wzruszył ramionami.

- Przemawiało przeze mnie rozgoryczenie, ponieważ

zostałem niesłusznie oskarżony o coś, czego nie zrobiłem. Być może nawet czułem się nieco winny. Mogłem przecież przerwać operację, albo po prostu zaprotestować, odchodząc od stołu. Może uratowałbym tę kobietę.

- Ta kobieta! Nawet nie pamiętasz, jak miała na imię.
- Ten zarzut wyrwał się jej mimo woli. - A jeśli je pamiętasz, to na pewno nie wiesz, na co chorowała w dzieciństwie i jakie choroby występowały w jej rodzinie. - Nie dawała mu dojść do słowa. - Podobno praktyka lekarska to coś więcej niż grzebanie w ciałach uśpionych osobników. Podobno chciałeś być częścią zżytej społeczności. - Ze smutkiem pokiwała głową. - Słowa rzucone na wiatr. Jak i to, co do mnie czujesz.

- Czy to znaczy, że nie masz do mnie zaufania?
- Wierzyłam w to, co mówiłeś. Być może dałam się uwieść idyllicznemu scenariuszowi, który zakładał, że będziemy razem, jako zespół pracować, rozbudowywać szpital dla dobra tej społeczności. Być może za dużo sobie wyobraziłam. Bo tak wyglądają dzisiaj moje ambicje zawodowe.

- Wcale nie twierdzę, że nie warto się tym zająć. Nie musimy z tego rezygnować. Możemy to nieco odłożyć w czasie.

- Jako przyjemne zajęcie na emeryturze? Mało stresujące, mało wymagające. Mało... dynamiczne? Emerytowany wiejski lekarz?

- Nie - zaprzeczył zdecydowanym tonem. Spacerował po pokoju w tę i we w tę. - Chciałem przez to powiedzieć, że gdyby kiedyś sprawy przybrały inny obrót, nie byłby to mój pierwszy wybór.

- Jasne. Trudno wiedzieć, co się traci, dopóki się tego nie doświadczy. Dopiero wtedy można powiedzieć, czego się chce naprawdę. Ja też nie marzyłam o tym, żeby żyć i pracować w Akaroa...

- Otóż to - przerwał jej. - Osiadłaś tutaj, ponieważ kochasz to miejsce i nie musiałaś rzucać czegoś, co było dla ciebie bardzo ważne. Ja zostawiłem tam swoją opinię. Mój szacunek dla samego siebie. Jasne, że mógłbym zostać w Ameryce, ale stale męczyłaby mnie ta plama oraz świadomość, że środowisko ma mnie za nic. Że nie warto mi pomagać. To mój bagaż z dzieciństwa. Muszę tam wrócić, żeby im pokazać, że nie mieli racji. Żeby mógł uwierzyć, że jestem im potrzebny.

- Czy oni są dla ciebie najważniejsi?

- Oczywiście, że nie. Ty jesteś dla mnie najważniejsza,

dlatego musisz ze mną pojechać. Żebym mógł ci pokazać, co potrafię osiągnąć.

- Ja to .wiem. Widziałam cię w akcji. Wystarczyło mi twoje słowo, żebym w ciebie uwierzyła. Nie muszę jechać do Stanów. A ty nie musisz niczego udowadniać oprócz...

- Umilkła porażona nową, przerażającą myślą.

- Czego?

- Zjawileś się tutaj na skutek zawodowej porażki. Już wiem, że praca u nas nie była twoim marzeniem. Mimo to uznałeś, że możesz się tu zaczepić, wykorzystując nadarzającą się okazję i być w miarę szczęśliwy. - Wzięła bardzo głęboki oddech. - Przyjechałeś tu również z powodu katastrofy osobistej. To przecież miała być twoja podróż poślubna. Być może i ja po prostu byłam pod ręką, więc uznałeś, że z tego skorzystasz, skoro nie masz nic lepszego...

- Sama nie wierzysz w to, co mówisz.

- Nie wiem, w co mam wierzyć. Z mojego punktu widzenia historia się powtarza. Związek z Hamishem rozpadł się przez moje przywiązanie do rodziny.

- Nie kochałaś go. Kochałaś go za mało, żeby się postarać o przetrwanie tego związku. Może właśnie tu tkwi problem. Może mnie też kochasz za mało.

- Więzi, które łączą mnie z tym miasteczkiem, są częścią mnie. Jeśli akceptujesz mnie, nie biorąc ich pod uwagę, nie pragniesz mnie dla mnie samej. A to za mało.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Czuła, że serce jej pęka.

- Uważam, że Akarora nie jest dla ciebie odpowiednim miejscem. A ja odpowiednią kobietą. Trzeba wiedzieć, czego się chce, i być tego absolutnie pewnym. Nie marzyłeś o pracy na rzecz mieszkańców Akarora. Sam to przyznajesz. Akarora zdecydowanie przegrywa z innymi propozycjami, jakie otrzymałeś. To chyba wystarczy.

- Akarora nie musi z nimi konkurować. Próbuję znaleźć jakiś rozsądny kompromis. Związek, w którym jedna strona ustala reguły i nie chce zrozumieć potrzeb drugiej strony, jest bez szansy.

- Bez dwóch zdań. - Jennifer z trudem panowała nad emocjami. - Nasz związek nie ma szansy. Nie mogę stąd wyjechać.

- A ja nie mogę tu zostać.

- Wobec tego jedź - powiedziała przez ściśnięte gardło.

- Jak najszybciej. Odnoszę wrażenie, że nie zdajesz sobie sprawy z tego, kim stałeś się dla tej rodziny. Dzieci są dezorientowane, nie wiedzą, co myśleć, a ja nie chcę prze-

ciągać tego stanu rzeczy. Nie pozwolę, żeby znowu coś takiego musiały przeżywać.

- Co to znaczy?

- To znaczy tyle, że jeśli wyjedziesz, to będzie koniec.

Dokonasz wyboru.

- To jest ultimatum. Myślisz tylko o sobie.

- Staram się chronić to, co dla mnie jest najważniejsze.

Również siebie.

- Mówisz, że wszystko skończone? Pozwolisz mi odejść? Myślałem, że mnie kochasz.

- Kochałam. I nadal kocham. To ty zdecydowałeś się odejść.

- Bo muszę.

- Świetnie. - Odwróciwszy wzrok, ruszyła do drzwi. -

I nie wracaj.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Warzywnik Briana kompletnie zarósł chwastami. Rok temu rozetki mlecza były tam ledwie zauważalne.

Starszy pan z rezygnacją pokiwał głową. Może za parę miesięcy będzie w stanie je powyrywać i znowu coś posiać, ale na nadchodzące Boże Narodzenie na pewno nie będzie świeżego zielonego groszku. Jego niezadowolenie z powodu zapuszczonego ogrodu zabarwione było lękiem, o którym wolał nie myśleć. Dlatego też ucieszył się, słysząc odgłos samochodu zajeżdżającego pod bramę, a widok gościa sprawił mu prawdziwą radość.

- Witaj, Philip! Nareszcie znalazłeś czas, żeby nas od wiedzieć, chociaż jesteś tu już od tygodnia.

Szwagier Jennifer serdecznie uścisnął dłoń Briana.

- Przepraszam, ale tyle się dzieje...

Żona Briana Patricia dreptała ku nim, powiewając szerokim fartuchem. Wyciągnęła Philipa i właśnie zapraszała go do domu, gdy uwagę jej przyciągnął chłopczyk, który gramolił się z auta.

- Angus! - ucieszyła się. - Chodź, skarbie! Pomożesz mi piec ciasteczka? A1 potem pójdziemy do ogrodu i nazrywamy kwiatków dla cioci Jen.

- Wątpię, żeby coś się jeszcze uchowało pod tymi chwa-

stami - mruknął Brian pod nosem. - Wszędzie zielsko, a ja jestem w słabej formie i nie mogę się tym zająć.

- Jen opowiadała mi o twoich kłopotach - współczuł mu Philip. - Jest przekonana, że operacja się uda. Podobno idziesz do szpitala pod koniec miesiąca?

Brian przytaknął.

- Potrójny bypass. Jeśli nikt się nie pojawi na nasze ogłoszenie o wakacie, Jennifer będzie zawałona robotą. - Ściągnął brwi. - Jak ona się czuje?

- Bardzo przygaszona. Między innymi dlatego do was przyjechałem. Martwię się o nią.

Ruszyli w kierunku ogrodowej ławki.

- Piękny dzień - zauważył Philip, gdy usiedli w ciepłym blasku, wśród oszałamiającego zapachu narcyzów. - To dziwne, ale wcale nie czuję, że wróciłem do domu.

Zdażyłem już polubić australijskie Złote Wybrzeże.

- Jak sobie radzisz, Philipie?

- Wspaniale. Interes ruszył. Niedawno kupiłem dom. -

Popatrzył nieśmiało na swojego dawnego lekarza. - Mam też kogoś. Nie spieszę się, ale ta osoba dużo dla mnie znaczy.

- To dobra wiadomość. Masz konkretne plany w tej kwestii?

- Jeszcze o nich nie wspomniałem Jennifer, ale dojrzałem do tego, żeby zabrać stąd dzieci. Już chcą ze mną jechać, ponieważ opowiedziałem im o australijskich parkach rozrywki.

- To będzie dla nich ogromna zmiana.

- Jestem tego świadomy. Ale ten tydzień jest wspaniały. Nawet nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak się za nimi stęskniłem. Bliźniaczki oznajmiły, że już nigdy nie pozwolą

mi zniknąć. Miałem kłopot z wysłaniem ich rano do szkoły. Angusa, prawdę mówiąc, dopiero poznaję. To nie jest dobrze, jeśli ojca nie ma przy tym, jak niemowlę staje się chłopcem.

- Poradzisz sobie z czwórką dzieci? Opieka nad nimi i prowadzenie firmy nie będzie łatwe.

- Mam pomocnika. Annę już na nie czeka. Nie może mieć dzieci, ponieważ na skutek powikłanej ciąży kilka lat temu usunięto jej macicę. Myślę, że dzieci ją pokochają. Ale, jak powiadam, nie chcę się spieszyć. Dlatego tym razem przyjechałem sam. Zamierzałem zaproponować Jen, że wezmę je do siebie w Boże Narodzenie, ale nie chcę dłużej czekać i znowu się z nimi rozstawać. Niepokoi mnie jedna rzecz: jak Jen to przyjmie.

- Jej życie bardzo się zmieni. Zostanie sama w pustym domu.

- Miałem nadzieję, że coś wyniknie z tej znajomości z tym facetem, który u niej mieszkał. Kiedy zadzwoniłem do niej parę tygodni temu, wydawało mi się, że znalazła mężczyznę swojego życia. Nawet dzieci opowiadały mi wy łącznie o tym, jaki Drew jest fantastyczny. Byłem trochę zazdrosny. Ale go tu nie zastałem, a Jen milczy. Czy wiesz, co się stało?

- Wyjechał raczej niespodziewanie. Musiał wrócić do Stanów, żeby pozalać swoje sprawy.

- Czy było między nimi coś poważniejszego?

- O, tak. - Brian uśmiechnął się smutno. - Tego nie dało się nie zauważyć. Podejrzewam, że doszło do poważnej konfrontacji. Przez tydzień po jego wyjeździe Jennifer wy glądała jak upiór, ale też miała sporo spraw na głowie, na przykład znaleźć opiekunkę do dzieci. Po tym, jak odeszła Saskia, zajmował się nimi Drew.

- Myślę, że odetchnie, jak je zabiorę. Życie stanie się dla niej o wiele łatwiejsze. Może jakoś dogada się z tym Drew i wreszcie zajmie się sobą?

- Może... - powiedział Brian bez przekonania. - Ale to zależy tylko od niej. Jej matka była tak samo uparta i nie prędko przyznawała się do popełnionych błędów. Jen im bardziej cierpi, tym bardziej jest zawzięta, żeby panować nad sytuacją. Samodzielnie. I nie okazać słabości. Chodźmy. - Wstał z ławki. - Chodźmy skosztować ciasteczek produkcji Patricii i Angusa.

Jennifer radziła sobie bardzo dobrze. Była przekonana, że nikt się nie domyśla, jak bardzo cierpi. Pomagało jej w tym zamieszanie w domu i nieustająca krzątanina w szpitalu. Jeśli czasami bywała roztargniona lub zirytowana, zawsze można było to przypisać okolicznościom zewnętrznym.

Trzeba było spakować do kartonów wszystkie ubrania dzieci, ich zabawki, gry i książki. Same dzieci nie mogły się doczekać, kiedy pojedą z ojcem do Australii, by zamieszkać razem z nim. Nawet Angus, który nie bardzo wiedział, co się dzieje, i dopiero co poznał ojca, był najszczęśliwszy w jego obecności. Michael wręcz urósł o kilka centymetrów w ciągu paru dni.

Tata podziwiał jego domek na drzewie, pracę na temat zanieczyszczenia środowiska oraz jego wiedzę o komputerach. Zostało postanowione, że w drodze do Australii, w sklepie bezcłowym, tata kupi mu komputer.

Trzeba było zająć się wyrobieniem dzieciom paszportów oraz załatwieniem pozwolenia dla Zippy'ego. Był przecież psem Michaela i absolutnie nie mógł zostać w Nowej Zelandii. Philip zgodził się nawet pokryć koszty podróży czarnego kotka, gdy

bliźniaczki oświadczyły, że on też jest członkiem rodziny. Jen zostanie Elvis i Tiger.

Niemniej jednak Philip nie zgodził się na eksport kuczka Buttona. W nowym domu nie ma dla niego stajni. Będą odwiedzać Jen w Akaroa i wtedy będą na nim jeździć. Przyjadą tu już na Boże Narodzenie, za kilka tygodni. Kompromis ten został osiągnięty po długich negocjacjach z dziewczynkami, w których ostatecznie przeważał argument przeprowadzki do taty.

- Jen, opiekuj się nim. On nas nie zapomni, prawda?

Uśmiech i gorące zapewnienie przysły Jennifer z nie małym trudem. Chciała cieszyć się razem z nimi i odsuwać od siebie uczucie, że oto za chwilę ją porzucą, ponieważ spełniła już swoją rolę tymczasowego rodzica. Pragnęła też nie myśleć o kobiecie, o której Philip stale mówił. O Annę, którą cała czwórka bez wątpienia błyskawicznie pokocha. Ani o szczęśliwej przyszłości Philipa: z dziećmi i oddaną partnerką. W pracy też nie mogła zaznać spokoju. Liam był już w drodze z Christchurch. Zanim wróci do domu, będzie leżał pod jej nadzorem w szpitalu. Grupa jego przyjaciół postanowiła zgotować mu powitanie w wielkim stylu połączone z przyjęciem. Przydzielono mu także najlepszy pokój szpitalny. Ruby królowała w kuchni, krzątając się przy podwieczorku dla mniej więcej pięćdziesięciu osób. W pokoju Liama zawieszono baloniki i poustawiano wiązanki kwiatów, a jego ojciec właśnie stał na drabinie i nad szpitalnym wejściem przybijał stosowny, powitalny transparent namalowany przez rodzeństwo Liama.

Nie zwracając uwagi na zamieszanie, Jennifer przez cały czas pracowała. Z powrotem. Może pomagało jej to, że nie poddała się gorącej atmosferze tych przygotowań? Była w stanie skupić się na sprawach praktycznych oraz robić wszystko, co należy, nie dopuszczając do siebie wspomnień z przeszłości ani pełnych nadziei rozmów o nadchodzącej przyszłości.

Ostatnio marzeń miała aż nadto. Marzeń, które z hukiem legły w gruzach, pozostawiając ją z uczuciem wewnętrznej pustki. Tę otchłań należy czymś wypełnić. Na pewno znajdzie coś takiego. To jasne, że nie da się tej czeluści zasypać do samego końca, ale jeśli się postara, zbuduje wokół niej mur i zamknie szczelną pokrywą. Wtedy zapomni o pustce i zacznie żyć od nowa.

Poważnym utrudnieniem, czasami nie do zniesienia, były sprawy, które przypominały jej o Andrew. Jak mu się udało w tak krótkim czasie przeniknąć wszystkie aspekty jej życia? Nawet całkiem błahy przypadek, z którym miała do czynienia

tego dnia w szpitalu, w końcu skierował jej myśli ku niemu. Wyszła z izby przyjęć, by skonsultować się z Brianem. Zastała go w biurze, gdzie pisał listy. Była tam też Wendy, która przyniosła doktorowi herbatę.

- W gabinecie mam Fredę Scott - poinformowała ich. - Przewróciła się wczoraj w ogrodzie i ma nadwreżony nadgarstek. Spuchnięty i bolesny. Nie stwierdziłam złamania, ale poleciłam jej, żeby pojechała do Christchurch i na wszelki wypadek go prześwietliła. Kategorycznie odmawia.

Oświadczyła, że jeśli nie da się tam dojść na piechotę, nie zamierza stąd się ruszać.

Brian wcale się nie zdziwił.

- O ile dobrze pamiętam, po raz ostatni widziałem Fredę w pojeździe napędzanym silnikiem spalinowym jakieś dziesięć lat temu.

Wendy zmarszczyła czoło.

- Czy to jest ta sama Freda, która mieszka przy Rue Balguerie? Z kilkunastoma kotami? Podobno jest trochę stuknięta.

Brian popatrzył na nią pobłaźliwie.

- Freda sprowadziła się tutaj trzydzieści lat temu i otworzyła sklepik z pasmanterią. Zawsze była sama i bardzo nie zależna. Freda bez wyraźnej przyczyny nie ma w zwyczaju chodzić do lekarza. Była moją pacjentką jeden jedyny raz. Po wypadku drogowym. Trzydzieści lat temu. Potrafiła wtedy Stewarta Maloneya, który wyskoczył prosto pod koła jej auta.

- Pamiętam! - krzyknęła Jennifer. - Stewart chodził do mojej klasy. Potem przyszedł policjant i miał dla całej szkoły pogadankę na temat bezpieczeństwa na drodze. Stewartowi nic poważnego się nie stało.

- Stracił przytomność - zauważył Brian. - Freda myślała, że go zabiła, więc przysięgła sobie, że już nigdy nie usiądzie za kierownicą. I dotrzymała słowa. Podejrzewam, że sama nabawiła się lęku przed innymi kierowcami. Podobno zdejmuje tablice rejestracyjne z samochodów, które jej zdaniem przekraczają dozwoloną prędkość, i zanoszą je Tomowi Bartlettowi. Wieść niesie, że sama wypisała parę mandatów.

Wendy słuchała tej opowieści rozbawiona. Jennifer natomiast zachmurzyła się.

- Teraz się nie dziwię, że tak kategorycznie odmawia podróży do Christchurch. Może uda mi się załatwić dla niej karetkę? - Przygryzła wargi. - To może być zwyczajne stłuczenie. Gdybyśmy mieli aparat rentgenowski, nie musieliby

byśmy takich prostych przypadków wysyłać do miasta. Bezskutecznie starała się odsunąć od siebie wspomnienie o ambitnych planach rozbudowy szpitala, które snuła wraz z Andrew. Szkoda, że poruszyła ten temat.

- Dlaczego nie mamy aparatu rentgenowskiego? – zainteresowała się Wendy.

- Za drogi - odparł Brian. - Do tego potrzebny jest jeszcze ktoś, kto potrafi z niego korzystać.

- Na pewno są jakieś szkolenia - zauważyła Jennifer.

- Przecież pielęgniarka w przychodni weterynaryjnej robi prześwietlenia!

- No właśnie - ucieszyła się Wendy. - Wyślijmy Fredę do weterynarza.

- Do zinterpretowania zdjęcia potrzebny jest fachowiec

- stwierdził Brian. - Niektóre złamania trudno zauważyć, a niewłaściwe leczenie może się źle skończyć.

- Mogłabym pójść na taki kurs - myślała Jennifer na głos. - Wtedy moglibyśmy sami zająć się wieloma przypadkami. Trudniejsze odsyłałibyśmy do Christchurch.

- Pomyślałaś o kosztach? Nasz budżet tego nie wytrzyma.

- Możemy zbierać potrzebną sumę. Poprosić o wsparcie mieszkańców Akaroa. Słyszałaś, ile osób zamierza witać Liama? Jak przyjdą, ogłosimy zbiórkę na rzecz kupna aparatury rentgenowskiej dla szpitala.

Brian uśmiechał się szeroko.

- Spodobał ci się ten pomysł? Masz pojęcie, ile to wymaga czasu oraz pracy?

- Może właśnie czegoś takiego mi potrzeba? Kiedy dzieci wyjadą do Australii, będę miała mnóstwo czasu. - W tej samej chwili powstał w jej głowie nowy pomysł. - Wyślemy Fredę do Christchurch tą samą karetką, która przywiezie Liama. Brian, chodź ze mną i z nią porozmawiaj. Ciebie na pewno posłucha.

Szła do gabinetu z lżejszym sercem, nie tylko z racji pomyslnego rozwiązania problemu z upartą pacjentką. Przy okazji okazało się, że nie potrzebuje pomysłów Andrew Stephensona ani jego pomocy.

- Rozmawiając z kandydatami na naszego nowego partnera, powinniśmy brać pod uwagę ich doświadczenie jako chirurgów - oznajmiła Brianowi tuż pod drzwiami. - Nasz szpital ma spore możliwości.

- Uważaj, bo spędzisz tu całe życie.

- To jest moje życie - odpowiedziała stanowczo. - I zamierzam tak nim pokierować, żebym mogła być z niego dumna.

Pierwszym powodem do zadowolenia był odzew, z jakim spotkał się wśród mieszkańców Akaroa apel o wsparcie finansowe na rzecz zakupu aparatury rentgenowskiej. Kolejnym, gorące powitanie zgotowane Liamowi. Uroczystość ta wzruszyła Jennifer do łez. Jakże to szczęście, że przyszło jej żyć wśród tych ludzi. Gdzie indziej jej praca spotkałaby się z takim entuzjazmem i uznaniem? Na pewno nie w wielkomijskim szpitalu. Ani w obcym kraju. I znowu, wbrew sobie, musiała myśleć o Andrew, ponieważ wszyscy zebrani mówili praktycznie tylko o nim. Czy to nie cud, że tamtego dnia, gdy Liam miał wypadek, doktor Stephenson znalazł się na szosie do Akaroa? Jaka szkoda, że nie ma go z nimi w tym wyjątkowym dniu.

- Muszę mu podziękować - zaczął Liam. - Czy ma pani jego adres? Chciałem napisać do niego list.

- Dam ci go, jak tylko sama go dostanę - obiecała. - Słyszałam, że już wiesz, kim chciałbyś być. Nadal chcesz zostać pielęgniarzem?

- Nie. - Chłopak uśmiechnął się szeroko. - Zmieniłem zdanie. Teraz myślę o fizjoterapii. Czy sądzi pani, że do stałbym tutaj pracę?

- To nie jest wykluczone. Jeśli uda mi się zrealizować wszystkie plany, fizjoterapeuta może się nam przydać. W domu jeszcze trudniej było jej odpędzić od siebie wspomnienia o Andrew. Bliźniaczki musiały opowiedzieć ojcu o jeżu i o tym, jak Drew nie spał całą noc, ponieważ co godzina musiał go karmić. Michael zażyczył sobie chińską potrawę na ich ostatnią wspólną kolację, a poczciwy, kudłaty Elvis, rozparty na drugiej połowie jej łóżka, stale przypominał jej o mężczyźnie, który jeszcze tak niedawno spał na tym miejscu.

W zamieszaniu związanym z przeprowadzką dzieci Jennifer mogła nie myśleć o tym, co ją czeka. Pojechała nawet z nimi do Christchurch, by wszystkiego dopilnować na lotnisku. Dopiero gdy już sama wracała do Akaroa, dotarła do niej ponura wizja przyszłości.

Gdy dojedzie na miejsce, dom będzie pusty i tylko Elvis ucieszy się na jej widok, machając ogonem pod frontowymi

drzwiami, które będą zamknięte na klucz. I tak będzie wyglądał każdy powrót do pustego domu, który na pewno wyda się jej dwa razy większy. Jeśli nie zostanie wezwana do chorego, nie będzie miała do kogo otworzyć ust. Żadnego towarzystwa. Może Michael miał rację? Głupio jest nie mieć telewizora.

Andrew wyjechał trzy tygodnie temu. I nie wróci. Sama zabroniła mu się tu pokazywać. Oboje byli wtedy tacy wściekli i rozgoryczeni, że trudno się dziwić jego milczeniu. Jej gniew szybko przeminął, ale trudniej było pozbyć się bólu. W pustym domu miała sporo czasu na rozmyślania. Nie może mieć pretensji do Andrew, a przyczyna, dla której nie mogła ruszyć się z Akaroa, przestawała być aktualna.

Wkrótce upłynie termin składania życiorysów przez kandydatów na trzeciego lekarza, który ostatecznie wymieni Briana, a także będzie mógł ją zastąpić. Równie dobrze mogłoby to być dwoje nowych lekarzy. Jedno ze zgłoszeń przysłała para lekarzy. Chcieli dzielić się obowiązkami. Może z czasem objęliby dwa samodzielne etaty?

Gdyby wcześniej wiedziała, jak potoczy się los jej siostrzeńców, inaczej pokierowałyby swoimi sprawami. Co ją tu zatrzymuje po ich wyjeździe? To środowisko? I zaangażowanie w jego sprawy? Czy to wystarczy? Czy to jest ważniejsze niż miłość do Andrew?

Nie. Mimo że kocha ten dom i tę pracę, dla niego potrafi z nich zrezygnować. Chce z nim być, wszystko jedno gdzie. Może niekoniecznie w Bostonie, ale tak nie musi być zawsze. To, co czuje do Andrew, nigdy nie przeminie. Co robić? Czy on nadal ją kocha? Czy może sama zabiła w nim to uczucie? Im dogłębniej analizowała to rozstanie, tym bardziej czuła się winna.

Doskonale rozumiała jego potrzebę powrotu do Bostonu, potrzebę doświadczenia zadośćuczynienia i rehabilitacji. Ten człowiek stale był odtrącany, nawet w dzieciństwie, a ona potraktowała go tak samo. Uznała, że jej praca i obowiązki są ważniejsze od niego. Nic dziwnego, że się nie odzywa. Tylko ona może to naprawić. Jeśli jest to w ogóle możliwe. Musi spróbować.

Panička w biurze numerów bez trudu znalazła numer telefonu Instytutu J. J. Shustera w Bostonie. Różnica czasu między Nową Zelandią i USA wynosi siedem godzin. Jennifer obliczyła zatem, że jeśli chce dodzwonić się około dziesiątej przed południem, musi to zrobić o trzeciej w nocy. Ostatnio miała duże trudności ze spaniem, więc nie stanowiło to żadnego problemu. Jednak koło północy zaczęła się denerwować. Co mu powie? Jak on zareaguje?

Chodziła po ogromnym, pustym domu. Takie niecodzienne zachowanie mocno zaniepokoiło Elvisa. Ciężko wzdychając, zlął w końcu ze swojego ulubionego miejsca na kanapie i powlókł się za nią. Ilekroć Jennifer przystawała, Elvis siadał pełen nadziei i zachęcająco machał ogonem. Jego pani jednak nie zwracała uwagi na te zabiegi. Gdy nad ranem usiadła

wreszcie na kanapie, ułożył się obok niej, wydając z siebie sapnięcie ulgi. W nagrodę został pieszczotliwie poklepany po wielkim, kudłatym łbie.

- Po prostu powiem mu prawdę - przemawiała do psa. - Że tęsknię. Że chcę być przy nim. Co złego może mnie

spotkać? Nic. Nawet jeśli powie, że wszystko skończone, nie będzie mi gorzej niż teraz.

Nie była to prawda. Motorem decyzji o rozmowie z Andrew była chęć dowiedzenia się, co traci. Jeśli przepadło to bezpowrotnie, to nie będzie to tylko miłość. Będzie musiała pożegnać się przede wszystkim z przyszłością, o jakiej marzyła.

Drżącymi palcami wystukiwała tasiemcowy numer Instytutu J. J. Shustera w Bostonie.

Prawie natychmiast odezwała się telefonistka. Mówiła z silnym południowym akcentem.

- Proszę mnie połączyć z doktorem Andrew Stephensonem - wyrzuciła Jennifer jednym tchem.

- Z kim? Proszę powtórzyć.

Jennifer przeliterowała nazwisko.

- Niestety, nic mi to nie mówi. A jaki to jest oddział?

- Chirurgia.

- Chwileczkę. - Włączył się telefoniczny dzingiel. Gdy usłyszała stary przebój „Zawiąż żółtą wstążkę na starym dębnie” o chłopaku, który wraca do ukochanej, mało jej serce nie pękło. Melodia nagle się urwała. - Przykro mi, ale nie ma tu doktora Stephensona. Nie pracuje tu od roku.

- Wrócił. Niedawno.

- Naprawdę? Proszę zaczekać...

Tym razem wysłuchała trzech zwrotek, zanim nowy głos poinformował ją, że została połączona z oddziałem chirurgii-

- Szukam doktora Stephensona. O ile mi wiadomo, kilka tygodni temu wrócił do Bostonu. Miał ponownie podjąć pracę w Instytucie.

Ta dziewczyna okazała się lepiej poinformowana.

Przynajmniej wiedziała, o kogo Jennifer chodzi.

- Poproszę któregoś z chirurgów - powiedziała. - Są dę, że Trent Bagshaw będzie wiedział o nim coś więcej. Trent miał właśnie przerwę między operacjami. Jennifer pomyślała, że za tym, trzecim, razem będzie miała więcej szczęścia.

- Przykro mi, ale go nie ma - tłumaczył się chirurg.

- Też tego żałuję, bo ledwie wyrabiam się z zabiegami.

Kontrakt już na niego czeka, ale powiedział, że decyzję po dejmie po konferencji.

- Rzeczywiście! Zapomniałam o niej. W Miami, prawda?

- Pojechała tam połowa naszych ludzi. Na cały tydzień.

Więc wszystko spadło na mnie. O, znowu wzywają mnie na salę. Miło było z tobą porozmawiać.

- Czy przekażesz mu wiadomość ode mnie? To bardzo ważne.

- Jasne. Mów.

- Powiedz mu... - Zabrakło jej słów. Miała tyle do powiedzenia, ale nie mogła tego powierzyć obcemu mężczyźnie, który na dodatek bardzo się spieszył. - Powiedz mu, że dzwoniłam - wykrztusiła - I... pozdrów go ode mnie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Trent Bagshaw zapewnił ją, że wszystko przekaże. Jennifer wyliczyła, że stanie się to zapewne dopiero, gdy Andrew wróci z Miami. Gdy ten dzień nadszedł i minął, była u kresu wytrzymałości.

Dni wlokły się niemiłosiernie. Dźwięk telefonu, zwłaszcza w nocy, stawiał ją na równe nogi, lecz nie były to połączenia międzynarodowe. Stary pan Bates, który miał kłopoty z gruczołem krokowym, dostał zawału. Pani Dobson umarła podczas snu, a Melissa Cooper postanowiła urodzić o trzeciej nad ranem w poniedziałek.

Poród przebiegł szybko i sprawnie, lecz Jennifer mało spała tej nocy i nie bardzo nadawała się do rozmów na temat pracy z kandydatami na współpracowników. O siódmej, pozostawiwszy Melisę i jej córeczkę pod okiem położnej Sue, zrobiła sobie mocną kawę i zmyśliła nad tym, co jeszcze czeka ją tego dnia.

Nie jawił się jej różowo. Miedzy rozmowami z kandydatami trzeba będzie zająć się hospitalizowanymi chorymi oraz zadaniami administracyjnymi. Spodziewała się też nieoczekiwanych przypadków, dla których trzeba będzie znaleźć czas. Dobrze, że Brian zaofiarował swoją pomoc podczas rozmów kwalifikacyjnych z kandydatami.

Nie powinno być z tym większych kłopotów. Spodobała się jej oferta lekarskiego małżeństwa. Dwoje lekarzy za cenę jednego.

Dzięki nim w niedalekiej przyszłości będzie mogła zerwać krepujące ją więzy i zacząć od nowa, w innym miejscu. Być może w Bostonie.

Lecz nawet perspektywa bliskości Andrew nie poprawiła jej humoru. Doktorostwo Grantowie mogą być doskonali, lecz upłynie sporo czasu, zanim przeprowadzą się do Aka-roa. Co gorsza, za tydzień Brian ma iść na operację. W związku z tym nie było mowy, by mogła wyjechać, zanim Brian odzyska jaką taką formę.

Pogoda tego dnia była przepiękna. Bezchmurne niebo przeglądało się w morzu, które przypominało błękitny jedwab. Łodzie rybackie na przystani ustawiły się malowniczym półkolem. Nie byłoby nic dziwnego, gdyby na powitanie gości z wody wynurzyło się stado delfinów.

Pierwsza kandydatka jednak na pewno by ich nie zauważyła. Katherine Hodderson, umówiona na dziewiątą, przyjechała godzinę wcześniej. Bała się drogi z Christchurch oraz tego, czy uda się jej szybko znaleźć szpital. Miała na sobie elegancki kostiumik oraz nowusienką teczkę. W tym stroju zupełnie nie pasowała do ich miejscowości.

Jennifer już od progu czuła, że to spotkanie będzie stratą czasu. Katherine była dopiero trzy lata po studiach medycznych. Brakowało jej doświadczenia, była nerwowa i zdecydowanie za młoda. To Brian uznał, że należy dać szansę młodej osobie i zaprosił ją na rozmowę.

- Ty też byłaś bardzo młoda, jak tu zaczynałaś - przypomniał jej. - I sama widzisz, jaki z ciebie skarb wyrósł.

Po spotkaniu musiał jednak przyznać, że doktor Hodderson nie odpowiada ich wymaganiom. Mimo to trwał przy filozoficznym podejściu do sprawy.

- Następny kandydat będzie lepszy. Colin Draper przy słał świetny życiorys. Ma trzydzieści sześć lat, więc nie jest za młody, i spore doświadczenie jako lekarz pierwszego kontaktu oraz jako chirurg. - Znacząco uniósł brwi. - I są dząc na podstawie zdjęcia, jest całkiem przystojny.

Faktycznie, Colin Draper nie był szpetny. Wysoki, szczupły, niebieskooki blondyn z ujmującym uśmiechem. Mimo że na Jennifer nie zrobił żadnego wrażenia, sam okazał wielkie zainteresowanie.

- Doktor Tremaine? - Nie ukrywał zdziwienia i zdecydowanie zbyt długo trzymał jej dłoń. - Nie miałem pojęcia, że ta propozycja jest aż tak atrakcyjna.

Uwolniła rękę.

- Co cię zainteresowało najbardziej w naszym ogłoszeniu?

- Czarujące miejsce. Tak blisko wielkiego miasta, a

panuje tu atmosfera prawdziwego nadmorskiego kurortu. -
Uśmiechnął się do niej. - Mam wrażenie, że po drodze
widziałem delfiny.

Okazało się, że doktor Draper jest zapalonym żeglarzem i
marzy mu się mieszkanie blisko przystani jachtów. Niedawno
się rozwiódł.

- Trzeba zacząć nowe życie - oświadczył, z uznaniem
popatrując na Jennifer. - Choćby od zaraz.

- Nie, ten się absolutnie nie nadaje - oznajmiła.

- Podobał mi się - wyznała Wendy. Wyglądała na roz-
czarowaną.

- Mnie też - wtrącił Brian, dolewając sobie herbaty. -
Ma odpowiednie kwalifikacje. Poza tym - zerknął na Jen-
nifer - ty mu się spodobałaś.

- On szuka nie tylko pracy. Podejrzewam, że chodzi
mu również o pomocnika na jachcie. Do szorowania po
kładu.

Zadzwoił telefon.

- Szpital w Akaroa - powiedział Brian, po czym się
przedstawił. Rozmawiając, patrzył na Jennifer, a ona usilnie
starła się wyczytać z jego oblicza, co ich czeka. - Chwileczkę,
przełączę do biura - rzekł w końcu Brian, po czym
odłożył słuchawkę i sięgnął po swoją filiżankę. - Sprawa
prywatna. Idę do gabinetu.

- Na pewno nie zmienisz zdania na temat Colina Dra-
pera? - zapytała Wendy, gdy Brian je opuścił.

- Zdecydowanie.

- Szkoda. Lubię żeglować...

Jennifer uśmiechnęła się do koleżanki. Gawędząc o tym i
owym, dokończyły drugie śniadanie. Jennifer wstała.

- Też będę w biurze - powiedziała. - Czekają nas ostatnia
rozmowa. Mam nadzieję, że ta para lekarzy okaże się
ciekawsza niż doktor Draper.

Wystarczyło jedno spojrzenie przez okno, by Jennifer
błyskawicznie pobiegła do wyjścia. Przyjechali jacyś
urlopowicze, którymi trzeba zająć się jak najszybciej, aby
można było się porządnie skupić podczas rozmowy z
przyszłym współpracownikiem.

Na parkingu stanął ogromny, jasnozielony dom na kołach,
pomalowany w girlandy kwiatów, palmy i tęcze. Wysypała się
z niego chmara dzieci. Trzy dziewczynki natychmiast rzuciły
się zrywać kwiaty w ogrodzie, a dwaj nieco starsi chłopcy
wyjęli procę i zaczęli kamykami z podjazdu strzelać do słupa
telegraficznego. Dwoje dorosłych, trzymając się za ręce,
spokojnie przyglądało się szpitalnemu budynkowi. Mężczyzna

był wysoki, miał brodę i długie włosy związane w kitkę. Kobieta natomiast miała włosy do pasa i długą suknię. Była w zaawansowanej ciąży.

- W czym mogę pomóc? - zapytała Jennifer.

- Chyba nie potrzebujemy już niczyjej pomocy, bowiem nasze modlitwy zostały wysłuchane - oznajmił rozpromieniony mężczyzna.

Jennifer popatrzyła na rozbrykanych chłopców, a małżonkowie wymienili rozanielone uśmiechy.

- Czy któreś z dzieci potrzebuje pomocy lekarskiej?

- Nie - odparła kobieta. - Sami zajmujemy się naszymi dziećmi. Oboje jesteśmy lekarzami.

- Doprawdy? - Jennifer wzmogła czujność. Może to ja kiś potworny zbieg okoliczności? Z nadzieją przyjrzała się kobiecie. Może zaraz zaczniesz rodzić? - A może to o panią chodzi? Zdaje się, że rozwiązanie wkrótce.

Jej domniemanie rozbawiło kobietę.

- Nigdy nie potrzebowałam pomocy przy porodzie!

Chyba widać, że mam spore doświadczenie. Ale to prawda, chcemy porozmawiać z lekarzem. Nawet dwoma. Z doktorem Wallace'em i doktorem Tremaine.

- Doktor Tremaine to ja - przedstawiła się. Czują, że ogarniają przerażenie. Doktorostwo Grantowie zaś nie kryli zachwyty.

- Peter Grant.

- A ja mam na imię Bethany. Przyjechaliśmy na rozmowę w sprawie pracy. - Wzięła męża pod ramię. - Mam już absolutną pewność, że będzie się nam tu fantastycznie pracowało.

Gdy godzinę później Jennifer znalazła się biurze sam na sam z Brianem, usilnie starała się nie pokazać, że jest kompletnie zdruzgotana.

- Małżeństwo lekarzy to dobre rozwiązanie. Jedno z nich zawsze będzie do dyspozycji. - Uznała, że należy powiedzieć coś pozytywnego o Graniach. - Oni są pełni entuzjazmu.

- To widać - odparł sucho Brian. - Szkoda, że nie skierowali go na wychowywanie dzieci. Trzeba będzie wezwać szklarza do tego okna.

- Niektórym może się spodobać ich holistyczne podejście do pacjenta - ciągnęła. - Peter na pewno znajdzie amatorów akupunktury. A nawet homeopatii.

- Wątpię jednak, żeby kogokolwiek zainteresowały jej naturalne metody rodzenia i transcendentalna medytacja.

- Mają wspaniałe życiorysy. Oboje są doświadczonymi lekarzami i oboje deklarują chęć włączenia się w nurt życia

tutejszej społeczności. Mamy tu już paru przedstawicieli alternatywnego stylu życia. Bethany proponuje zajęcia z tkactwa oraz zorganizowanie grupy wsparcia dla rodziców, którzy zechcą uczyć dzieci w domu.

- Wpuścisz ich do swojego domu, dopóki nie znajdą ziemi pod swoje gospodarstwo zielarskie?
Uśmiechnęła się. Wiedziała już, że tej rundy nie wygra. Nawet jej na tym nie zależało.

- To trochę potrwa, jeśli rzeczywiście chcą zbudować dom z ręcznie robionych cegieł z gliny. - Westchnęła. - Idealne rozwiązanie... Małżeństwo lekarzy i oboje zachwyceni perspektywą zostania tu na zawsze.

- Idealne - przytaknął skrzętnie Brian. - Idealny będzie Colin Draper. Pod warunkiem że przychylnie się do niego ustosunkujesz.

- Nie mam zamiaru. Nie interesuje mnie Colin Draper. Nie odpowiada mi jako współpracownik. Jako osoba ani jako lekarz.

- Ma lepsze kwalifikacje niż Grantowie. I okazuje nie mniejszy entuzjazm.

- Na tym polega problem. Nie chcę trwonić godzin pracy na opędzanie się od niechcianych zalotów. Nie interesuje mnie Draper. - Zawahała się. - A może to nie jest taki głupi pomysł? - Nie chciała, by to, co powie, sprawiło Brianowi przykrość. - Być może wyjadę, gdy nowy lekarz już się zadomowi, a ty wrócisz ze szpitala.

Brian wcale się nie zmartwił.

- Myślisz o wyjeździe do Bostonu?

- Rozważam taką możliwość. - Poczowała się onieśmielona.

- Nie dlatego, że chcę wyjechać z Akaroa...

- Rozumiem. Nie musisz się tłumaczyć.

- Z tego może nic nie wyjść - tłumaczyła się. - Być może szukam czegoś, co bezpowrotnie straciłam. Może więc być i tak, że jednak tu zostanę.

Łagodny uśmiech Briana nieco ją zaniepokoił. On wcale się tym nie przejmuje! Być może znalazł się w zasięgu pozytywnej energii, wręcz tryskającej z Grantów.

- Szukając, nigdy się nie wie, co się znajdzie. - Znowu popadł w ten swój filozoficzny nastrój. - Myślę, że wszystko jakoś się ułoży. Na razie musimy znaleźć współpracownika.

- Niewielki mamy wybór. Sądziłam, że będzie więcej zgłoszeń.

- Mamy jeszcze jednego kandydata. - Zerknął na zegarek.

- Za pięć minut przyjeżdża autobus z lotniska

w Christchurch. Obiecałem, że po niego przyjadę.

- Nie wspominałeś o czwartym kandydacie. Gdzie jest jego życiorys? Jak się nazywa?

- Gdzieś w komputerze. W poczcie elektronicznej. -
Już stał w drzwiach. - Zaraz wracam.

Po dziesięciu minutach przed komputerem zrezygnowała z dalszych poszukiwań. Rzeczywistość pokazała, że życiorysy i fotografie na niewiele się przydają. Istotny jest bezpośredni kontakt. Może z tego zrezygnować? Przynajmniej na razie. Gdy Wendy zaanonsowała spóźnionego kandydata, ledwie kiwnęła głową.

- Brian będzie przy tej rozmowie?

- Przyjdzie za chwilę. - Wendy dziwnie się jej przyglądała. Czyżby zaskoczyło ją jej nieskrywane zniechęcenie? -
Czeka, aż Ruby skończy dekorować ciasto, żeby wam przynieść razem z kawą. - Pielęgniarka wyraźnie unikała jej spojrzenia. Wbiła wzrok w podłogę.

Jennifer znowu kiwnęła głową. Brian już miał okazję porozmawiać oko w oko z nowo przybyłym. Może dobrze, że i ona ma taką okazję.

- Niech wejdzie. Wendy! Czeka! Jak on się nazywa?

Lecz pielęgniarki już nie było. Z korytarza Jennifer usłyszała tłumiony chichot, za to w drzwiach ukazał się człowiek, który patrzył jej prosto w oczy.

- Nazywam się Andrew Stephenson.

- Drew! - Powoli, jak we śnie, podniosła się zza biurka.

- Wejdz. Co ty tu robisz?

- Przyszedłem na rozmowę w sprawie pracy.

- Niemożliwe!

- Nie chcesz, żebym został waszym współpracownikiem?

- zapytał półgłosem. - Masz już kogoś lepszego?

- Nie, skądże. - Rozpaczliwie starała się uporządkować myśli. - A Boston?

- Nie odpowiada mi Boston. Zrozumiałem to niemal w dniu przyjazdu, ale musiałem tam zostać. Sprawę w sądzie przełożono na inny termin. Zastanawiałem się też, jak cię przekonać, że wcale nie miałaś tego na myśli, mówiąc mi, żebym tu nie wracał. Dałem się namówić na wzięcie udziału w tej konferencji, ale kiedy Trent przekazał mi wiadomość od ciebie, zrozumiałem, że nadal jestem ci potrzebny. Wsiadłem w pierwszy samolot i zadzwoniłem z lotniska. Rozmawiałem z Brianem, który powiedział mi, że dzisiaj przyjmujecie kandydatów. To on wpadł na pomysł, żeby ci nie mówić o moim powrocie. Twierdził, że na pewno się ucieszysz na widok niezapowiedzianego kandydata.

Jennifer była bliska łez. Brakowało jej słów. Potrzebowała czasu, by oswoić się z jego bliskością. Miała mu mnóstwo do powiedzenia, a nie wiedziała od czego zacząć. Ta scena wydała się jej nierealna. I krucha.

Czy Andrew potrafi zrozumieć, co teraz się w niej dzieje? Że potrzebuje czasu do namysłu. Chyba to rozumiał, bo uważnie się jej przyglądał. Uśmiechnął się, podnosząc do góry dużą papierową torbę.

- Przywiozłem prezenty dla dzieci. Dwie takie same lalki dla Jess i Sophie, grę komputerową dla Michaela, i puszystą żółtą kaczkę dla Angusa.

- Nie ma dzieci. - ' Tyle się zmieniło pod jego nieobecność. Czy to, co było między nimi, także uległo zmianie?

- Wyjechały z ojcem do Australii.

- Co takiego? Kiedy?

- Parę tygodni temu.

- Wydawało mi się, że Philip miał przyjechać tylko z wizytą. Wiedziałaś o tym, zanim wyjechałem? - Nie krył rozczarowania.

- Nie. Prawdę mówiąc, nie ma ich przez ciebie.

- Wyprawiłaś je do Philipa? Żeby przyjechać do Bostonu? - Potrząsnął głową. - Mam nadzieję, że tak nie było. Wcale tego nie chciałem.

- Nie... Tak. - Zmieszana pokręciła głową. Pomogło. Nagle znalazły się wszystkie potrzebne słowa. - Owszem, zamierzałam lecieć do Bostonu, ale zdecydowałam o tym, dopiero gdy dzieci wyjechały. Nie spodziewałam się, że Philip je zabierze. Nie odesłałam ich. To konsekwencja tej rozmowy telefonicznej, o której ci wspominałam. Powiedziałam ci, że Philip jest zazdrosny, ponieważ dzieci mówią tylko o tobie. On naprawdę był zazdrosny. Nie chciał, żeby ktoś go im zastąpił i to go zmobilizowało. Kupił dom, zorientował się w wyborze szkół, i tak dalej. Ale nawet wtedy jeszcze nie zamierzał ich stąd zabierać. Chciał tylko rzucić taki pomysł, żeby dzieci się z nim oswoiły.

- Więc skąd ta zmiana?

Postąpił krok naprzód, a ona chciała go dotknąć, by przekonać się, że naprawdę istnieje. Czowała, że nic się nie zmieniło. On nadal jej słucha i rozumie, co ona czuje.

- Dzieci powiedziały, że go nie puszcza, jeśli ich nie zabierze. Wyjechał nawet Zippy i czarny kociak. Bliźniaczki chciały zabrać kucyka, ale Philip się nie zgodził. Będą na nim jeździć, jak przyjadą na Boże Narodzenie. Philip przy

wiezie swoją nową kobietę, Annę.

- Co ty na to? Teraz ktoś inny zajmie twoje miejsce w ich życiu.

- Jestem z tego powodu bardzo szczęśliwa - odparła szczerze. - Cieszę się, że ją poznam. Byłoby bardzo źle, gdyby Philip kurczowo trzymał się przeszłości, żył wspomnieniami i nie znalazł nikogo, z kim mógłby dzielić terażniejszość i przyszłość.

Andrew podszedł do niej jeszcze bliżej.

- Czy mogę dzielić z tobą twoją terażniejszość? Oraz przyszłość? - zapytał z powagą, wpatrując się jej w oczy.

Ona jednak czuła, że słowa więzną jej w gardle.

- Pod warunkiem że to będzie z wzajemnością - od rzekła wreszcie.

- Pani doktor, czy mam prawo mniemać, że moje podanie na miejsce pani partnera zostało rozpatrzone pozytywnie?

- Tak. - Starła się, by zabrzmiało to bardzo oficjalnie.

- Wątpię, byśmy znaleźli bardziej odpowiedniego kandydata na to miejsce. - Podała mu dłoń. - Witam w naszym szpitalu, panie Stephenson.

Z powagą uściśnął jej rękę.

- Wolę, aby zwracano się do mnie per „doktorze”. To bardziej stosowne w tej sytuacji. - Nie zwolnił uścisku. - Muszę jednak zauważyć, że nie miałem na myśli podania o pracę.

Uniosła brwi. Nie próbowała uwolnić ręki. Czy to on ją przyciąga do siebie, czy ona sama przysuwa się do niego?

- Bardziej mnie interesuje los mojego podania o miejsce w sferze bardziej osobistej. Jen, czy wyjdiesz za mnie? Jak tylko porozysłałyśmy zaproszenia. Możemy pobrać się w Święta?

- Oczywiście...

Już nie dzieliła ich żadna odległość. Z radością odwzajemniła jego pocałunek. Od poprzedniego pocałunku zmieniło się jedynie to, że rozplynęły się wszelkie wątpliwości, które kiedyś mogli mieć. Są dla siebie przeznaczeni. Na wieki. Teraz już była tego pewna. Partnerstwo doskonałe. Jennifer chciała ofiarować mu taki sam dar, jaki od niego otrzymała.

- Jesteś przekonany, że chcesz tu mieszkać i pracować?

- Odsunęła się tylko na tyle, by spojrzeć mu w oczy. -

Mogę jechać do Bostonu. Wszędzie. Byle byśmy tylko byli razem.

- Nie dla ciebie Boston. Ani inne części świata. - Od

garnął kosmyk włosów z jej czoła. - Twoje miejsce jest tutaj. - Pocałował ją w czubek nosa. - Z tradycją rodzinną, domem i ludźmi, którzy cię kochają. Chciałbym poczuć, że tutaj jest również moje miejsce.

- To jest nasze miejsce.

- Bo jesteśmy współnikami - uzupełnił z zadowoleniem w głosie. - Na zawsze.

Zdażyła jeszcze się uśmiechnąć, zanim zaczął ją niecierpliwie całować.

- Partnerstwo doskonałe - szepnęła, zarzucając mu rękę na szyję. Nie zamierzała mówić nic więcej.

KONIEC